



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 30 października 1955 r.

Nr 44 (292) Rok VI

JERZY LOVELL

CZY KRYZYS INSTYTUCJI MAŁŻEŃSTWA?



Jedna z ostatnich prac Picassa

54—32, 32—28, 22—19, 42—27, 29—26, 35—36, 21—24, 26—22, 22—22, 29—23, 26—22, 28—19, 23—22, 30—22, 38—32.

Z zestawienia tego wynika, że zdecydowana większość małżeństw zupełnie młodych przypada na Nową Hutę — na środowisko, które masowo i najszybciej oferuje awans ludzki.

Przetłumaczmy te fakty i zjawiska. Spośród 15 młodożeńców, których wylczyliśmy w Nowej Hucie, trzech jest chłopcami 19-letnimi. Wszyscy trzej świeżo wywiedli się ze wsi, z rodzin biednych. Pracują w Kombinacie, zarabiają stosunkowo dobrze (1100 — 1500 zł), i to po krótkim, maksimum dwurocznym okresie przysposobienia do zawodu. Są poza tym chłopakami jak najuczciwsi, spokojnymi, rzetelnymi; już w tym młodym wieku zdobyli niezależność materialną, zawód, częstokroć — szacunek wśród ludzi, oparty na sukcesach w pracy. Pod wieloma względami istotnie można ich już uważać za ludzi dorosłych; sami w głębi duszy są oni jednak najmocniej przekonani, że mężczyzna staje się prawdziwie dorosłym dopiero w chwili, kiedy założy rodzinę; ożeni się, będzie miał dziecko*. Po drugie — ożenek uważają za gwarancję samodzielności i potwierdzenie własnego autorytetu wobec środowiska z którego wyszli: wsi. Po trzecie wreszcie: coraz bardziej niepokoi ich kobiecość, pożyście płciowe, związanie z tym tajemnicą...

W większości małżeństw młodych — nawet jeśli małżonkowie nie pochodzą ze wsi — znajdziecie te właśnie motywy, wywodzące się z pojęcia awansu. Efekt: młodzi chłopcy żenią się z pierwszą dziewczyną, która obudziła ich uczucia. Żenią się z reguły z kobietą od siebie starszą, bo oczywiście urzeka ich urok kobiecości już dojrzałej, z odcieniem czułego macierzyństwa. Praktyka dowodzi, że — wbrew pozorom — stosunkowo dobrze jeszcze się dzieje, jeśli różnica wieku wynosi 4 — 7 lat. Wtedy to kobieta obejmuje supremację, jej doświadczenie i rozsądek chronią małżeństwo od kataklizmów. A jeśli różnica wynosi tylko miesiąc, najwyższy — rok, dwa lata? Jeśli obydwoje są de facto dziećmi, nie mającymi pojęcia o życiu?

...Małżeństwo M. z Nowej Huty. W chwili zawarcia związku małżeńskiego oboje mieli po 20 lat. Pobrali się po miesięcznej znajomości, właściwie przelotnej tylko — w okresie karnawału, po kilku wspólnie spędzonych wesolych zabawach. Ona bardzo szybko zaszła w ciążę, której nie chciała. Przez okres ciąży w domu było „piekło”, a po urodzeniu się dziecka — matka natychmiast wróciła do dawnego panińskiego sposobu życia, zostawiając dom i dziecko trochę męża. Zaczęła prowadzić się coraz gorzej, w końcu zaraziła męża chorobą weneryczną. Na rozprawie rozwodowej tłumaczyła się: „Znienawidziłam go, kiedy mi tak od razu zamknął życie dziecko. Czulałam się taka młoda, chciałam się jeszcze bawić, żyć”...

...Małżeństwo W. z Krakowa. Ona — 19 lat, on niepełne 21! Ona zamieszkała przy rodzinie siostry, on — również katem — u znajomych. Obydwoje pracujący. Przez pierwsze cztery miesiące po ślubie widywali się tylko na spacerach, w teatrze i w kinie — dopiero piąty miesiąc stał się „miesiącem miodowym”, bo wyjeżdżający wraz z rodziną na urlop przyjaźni na ten okres pozostawił im do dyspozycji swoje mieszkanie. Potem — znowu długie miesiące poszukiwania jakiegoś kolwiek własnego kąta. W międzyczasie — ciąża. Szutczne poronienie, miesięczny pobyt w szpitalu, uraz psychiczny. Przez pół roku nie widują się zupełnie. Przy pierwszym przypadkowym spotkaniu na ulicy, wymijają się z odwróconymi głowami. Dopiero po chwili ona dogoniła jego.

Rozwód był zgodny. Wymyślono pozory.

...W czasie wesela na przedmieściach Olkusa któryś z gości zażartował: „co ma tylko jedna para iść do Urzędu — nudno jej będzie. Dalej, niechże się ruszy jaka druga para dla towarzysztwa”. Działo się to po wielu już kieliszkach. Druga para znalazła się: on i ona widzieli się pierwszy raz w życiu, zaproszeni tu na uroczystość weselną. Po otrzeźwieniu i kilku tygodniach rozterki — przyjechali do Krakowa prosić o rozwód — „bo tamto — proszę pana sędziego, było tylko dla hecy”.

...Kraków, małżeństwo X. On 18 lat, żół po maturze, ona 24. Plam*

* Ciekawymi danymi posłużyła mi tu dr Szlapakowa, znany w Krakowie ginekolog. Spora część jej prywatnych pacjentów — opowiadała — stanowią młodzi małżeństwa z Huty, które już po dwu-trzymiesięcznym pożytku są przerazone brakiem dowodów zajęcia w ciążę. Niepokoją się zresztą najbardziej — i to również jest charakterystyczne — nie tyle przyszłe matki, co przyszli ojcowie.

styczka, już rozwódka. Pozwalała mu przychodzić do siebie tylko w określonych godzinach, traktując poza tym jak chłopca na posyłki. Po roku zażądała rozwodu. Sędzia K. opowiadała mi: „Przed rozprawą podszedł do mnie jakiś starszy pan. „Na miłość boską — proszę — nie dajcie im rozwodu!” Dlaczego? — zdziwiłam się. — „Bo ja też mam 18-letniego syna... Ona teraz na niego zagłębia parol, powlecze go do ślubu, jak nic...”

...Małżeństwo L. Pobrali się po 2-tygodniowej zaledwie znajomości, zresztą bez wiedzy rodziców, przebywających na wsi. Ona studentka WSE, lat 21, on technik, lat 20. Zamieszkali wspólnie w jednym przechodnim pokoju. Ciężkie warunki materialne — zarabiał właściwie tylko on, poza tym wiele pracy i uciążliwi współlokatorzy. Po dwu miesiącach — ona uciekła do koleżanki, z którą dawniej mieszkali. „Przyleciała wtedy do mnie z walizką i pościelą — opowiadała koleżanka, zadowolona jako świadek — cała zapłakana, wzburzona. Pocałowała mnie i zapytała, czy ją przyjmę z powrotem, bo ona ma już dość małżeństwa, że gdyby wiedziała jakie to straszne życie, to nigdy by tego głupstwa nie zrobiła. Po paru dniach on ją odszukał, przyszedł do nas, a ja usunęłam się do sąsiadki, do drugiego pokoju, żeby im nie przeszkadzać. Ale tam zaraz zrobił się wielki krzyk — on ją bił. Poleciałam na Milicję. Komisariat jest obok. Ledwie go milicjanci od niej odłączyli, leżała potem w szpitalu przez 8 dni”.

...Małżeństwo K. Nowa Huta. On ma lat 21, ona 17. Po pięciu miesiącach pojęcia oświadczyła mężowi, że się pomyliła, że właściwie kocha innego. Tym „innym” był młody inżynier z Kombinatu, fachowiec sprowadzony ze Śląska, znany przy tym kobieciarz. Wypędzona przez męża, poszła do niego. Przeszła potem jeszcze przez niejedną rękę. Mąż rozpił się, i straciwszy pracę w Hucie, wyjechał z powrotem do sielki na wieś, w powiecie myślenickim. —

Rozwód, choć konieczny, pieczętował straszliwe, nie do powetowania spustoszenia moralne.

...Rozmawiałem, dla przeciwwagi, z ludźmi starymi. Wypytywałem, w jakim wieku zawierali małżeństwa. Mężczyźni — mówiono mi — rzadko kiedy przed 30-tką. „bo to, panie, i wojsko najprzód trzeba było odbyć, i jakoś się w życiu urządzić... Na chłopaka przed wojskiem, to nawet żadna panna nie spojrziała.” Okres narzeczeństwa też trwał długo, do kilku lat. „Przez taki czas, panie, to się każde z każdym dobrze poznało, każde każdego przejrzało na wylot, bo to, jakby nie było, sprawa na całe życie. A teraz — co teraz za małżeństwa? Zetkniesz się słoma ze słomą, ogień buchnie — i już po ogniu i po małżeństwie”...

Czy wierzyć starym ludziom? Jeszcze nie czas na wnioski. Widzieliśmy w każdym razie, jak się spruwają ich wnuki; zobaczymy teraz, jak sobie radzą córki i synowie?

Synowie i córki pobrali się w wieku „przepisowym”, odbyli należną kwarantannę narzeczeńską, ich pożyście małżeńskie nie odbiega daleko od wzoru ojców. Mimo to często wklajają się w tragedię i często szukają z nich wyjścia — na salach sądowych.

Mimo to... a może właśnie dlatego? Dlatego, że mniej lub więcej wiernie skopiowany stary model małżeństwa jest w nowym życiu chromy i nieprzydatny.

Pomijając sprawę wieku — jakiż to był ów stary model małżeństwa? Najogólniej rzecz biorąc — zakładali na kapitulację jednego z małżonków przed drugim; najczęściej zresztą kapitulację kobiety przed mężczyzną, przy czym pod słowem „kapitulacja” rozumiem bezwzględne pogodzenie się z wolą, charakterem i czynami strony przeciwnej. Stary typ małżeństwa funkcjonował i mógł funkcjonować tylko na zasadzie tej kapitulacji, a raczej za jej cenę. Kobieta utrzymywała

ognisko domowe za cenę przymania oczu na niegodziwości i słabości męża, za cenę rezygnacji z własnego zdania i własnego sposobu życia. (Świadomie unikam tu wywodu socjalno-ekonomicznego, jako znanej wszystkim oczywistości, pewnika). Z czasem — szczególnie w kręgu inteligencji mieszczańskiej, biorącej z kolei wzór z arystokracji, wykształciła się inna odmiana tego modelu, gdzie kapitulację zastąpiła o b l u d a, zresztą częściej już obustronna. Te dwie odmiany starego modelu małżeństwa prosperują w pełni po dziś dzień. A teraz wyobraźmy sobie sytuację, kiedy kobiecie zbrakło ochoty do kapitulacji, a obydwojgu małżonkom — do obłudy (ściślej: gdy wyrównały się prawa i możliwości). Czy sztucznie utrzymywana równowaga w małżeństwach starego typu nie rozchwiewa się wtedy, nie rozkłada się niebezpiecznie?

Wybermy przeciętną współczesną parę małżeńską (w kilka czy kilkanaście lat po ślubie, mającą jedno lub dwoje dzieci) i — zaglądając w akta Sądu Wojewódzkiego — spróbujmy znaleźć dla niej typowe, powszechne sytuacje, które prowadzą do rozwodu.

Tu uwaga wstępna: pary takiej nie będziemy szukać ani wśród robotników, ani wśród chłopów pracujących na roli — w środowiskach tych rozwody należą do rzadkich wyjątków. Przykładowo: ilość rozwodów na wsi i w mieście (dane dla woj. krakowskiego) ma się jak 1:9, przy czym w pozycji „wiejskie” należy również wliczyć inteligencję osiadłą na wsi — urzędnicy, naukowcy, lekarze itp. Jak mi się zdaje, ma to w tym swoje źródła, że stary model małżeństwa przetrwał tu w otocze równie starych, tradycyjnych nawyków moralnych i pojęć. Sprawy rozwodowe dotyczą więc w przeważającej mierze ludzi, którzy wyszli poza swoje środowisko, których życie uległo gwałtownej zmianie; bądź też ludzi, pozostających wprawdzie w swoim środowisku (inteligencja, drobniemniejszczaństwo itp.), ale atakowanych bezpośrednio i z bliska nowym układem warunków społecznych, społecznych, materialnych.

...Więc nasze małżeństwo — zwykłe, przeciętne małżeństwo w dużym mieście, istnieje od lat dziesięciu czy dwunastu; on może być z pochodzenia chłopem lub drobniemniejszczańcem, ona — córką urzędnika czy kolejarza, obydwoje po maturze, on — z wykształceniem specjalnym, handlowym czy technicznym. Widzimy ich co krok, ubranych porządnie choć nie gustownie, w miarę inteligentnych, w miarę sympatycznych. On — pracuje od lat w jakimś Zjednoczeniu lub w urzędzie, awansuje, jest nawet kierownikiem jakiegoś działu czy jakiejś filii. Ona — zaczęła pracować 8 czy 10 lat temu; ściślej, kiedy urodziło się pierwsze dziecko, kiedy zaczęło nie starczać pieniędzy na potrzeby domowe. To było dla ich małżeństwa bezsprzecznie momentem zwrotnym. Znajomi z kręgu pań adwokatów i prosperujących sklepikarzy powiedzieli wtedy: ona się w y e m a n c y p o w a ł a. Termin — jak termin. Akta sądowe mówią jednak, że trzeba w nim widzieć dwa bieguny: dodatni i ujemny, co znaczy: każde dobrodziejstwo może być zarazem klęską.

Poszukajmy przykładów: Oto przykład pierwszy: on zniósł jej usamodzielnienie, jej pracę zarobkową jako zło konieczne. Od pierwszych chwil, stałe i niezmiennie podejrzewa ją o awanturki miłosne z kolegami biurowymi; jest zazdrosny o każdą godzinę spędzoną poza domem — w domu zaś szkanuje, tyraniuje, stwarza atmosferę nie do wytrzymania. Swoje urojenia zaczyna z czasem pojmować jako rzeczywistość; to jest wygodne, bo stwarza pretekst i usprawiedliwienie. Coraz częściej wraca do domu późno („nie mogę żyć w tej atmosferze!”), skwapliwie wyjeżdża w teren, flirtuje z koleżankami — i zawiązuje trwałe romansy. Pieniądzy do domu przynosi coraz mniej, wymawiając żonie: „nie będę żył na twoich kokankach”. Boga ducha winna żona do czasu znosi to cierpliwie, perswaduje lub milczy — ale wreszcie ma dość, wreszcie staje w obronie swojej ludzkiej godności, prawa do życia, do spokoju. Często spotyka w pracy człowieka, który będąc kontrastem męża, zniewala dobrocią i uczciwością — wtedy decyduje się dla niej łatwiejsza. Ale nawet jeśli człowieka takiego nie ma — w końcu decyduje się na życie choć samotnie i trudne, ale zawsze jaśniejsze, czystsze, početnějsze. Po rozwodzie — zostaje jej praca, ambicje zawodowe, zostaje wyrwana meżowi dziecko i perspektywa znalezienia mu drugiego ojca — ale już lepszego...

Bywa jednak — często, o wiele częściej niż myślimy — również i inaczej. Bywa tak, że żona traktuje

(Dokończenie na str. 6)

Czyżby to był wielki ogólnoswiatowy kryzys instytucji małżeństwa? Rodziny rozpadają się w zatrważającym tempie — u nas, w Niemczech, w USA, nawet w purytańskiej Anglii. Wszędzie.

Czy skończyły się zatem czasy wielkich miłości, czasy honoru, obowiązku, przywiązania? A może przeciwnie — skończyły się czasy uświęconego zakłamania?

Jesteśmy lepsi czy gorsi, moralniejsi czy bardziej cyniczni? Zauważcie jeszcze jedno zjawisko, występujące równoległe a nie mniej ogólne, nie mniej powszechne: pęd do zawierania związków małżeńskich — wśród młodych wręcz epidemiczny, o wszelkich cechach zbrojowej choroby.

Więc jak to: z jednej strony pęd do zakładania rodzin, a z drugiej — ich rozpad?

I

Rozmawiałem z adwokatami, specjalistami od spraw rozwodowych. Wiele czasu spędziłem w Wydziale II Sądu Wojewódzkiego w Krakowie, grzebiąc w aktach i przysłuchując się stronom. Łącznie po Nowej Hucie, rozpytywałem aktywistów młodzieżowych i partyjnych. Brałem pod lupę życie swoje i swoich znajomych. Szukałem odpowiedzi.

Jeśli ilość spraw rozwodowych, jakie wpłynęły do sądów w 1952 roku (w cyfrach porównawczych, według danych Sądu Wojewódzkiego w Krakowie) przyjąć za sto, to już w 1954 roku było ich 200, a więc dwukrotnie więcej. Krzywa rośnie w dalszym ciągu: w bieżącym roku osiągnęła pułap blisko 250... Pod względem ilości rozwodów wysunęliśmy się na drugie miejsce w świecie — tuż po Niemczech zachodnich, a wszelkie dane przemawiają za tym, że wkrótce zdobędziemy mało zaszczytny tytuł lidera.

Te cyfry dają chyba dostateczne pojęcie o rozmiarach zjawiska i jego tendencjach rozwojowych. Aby od razu wejść w meritum sprawy — podam kolejne dane: wiek małżonków rozwiedzionych — w chwili, kiedy zawierali oni związek małżeński (w procentach — w stosunku do ogólnej ilości rozwiedzionych mężczyzn i kobiet):

	mniej niż 19 lat	20—24 lat	25—29 lat
mężczyźni %	6	40,9	30,2
kobiety %	29,9	40	16,5

Jak widać z tabeli, wśród rozwiedzionych przeważają małżeństwa, które pobrali się młodo, do 24 ro-

ku życia; dla mężczyzn wynosił to niemal 50 proc., dla kobiet — niemal 70 proc. Dr Kułakowska, kierowniczka Wydziału II Sądu Wojewódzkiego w Krakowie skomentowała te cyfry następująco:

— Istotnie, w naszych aktach rozwodowych jest dużo spraw małżeństw zupełnie młodych — i w sensie wieku małżonków, i czasu trwania związku małżeńskiego. Nazywamy je wśród siebie „dziecinny” — co wcale nie znaczy, abymy się lekceważyli. Następną falą rozwodów dotyczy małżeństw starszych; są to sprawy o wiele bardziej skomplikowane, o innych motywach, o złożonych przyczynach...

Ten podział — na sprawy „młodych” i „starszych” niech nas obowiazuje. Rozdział o „młodych” rozpoczniemy taką oto anegdotką — aż nadto prawdziwą, wyciągniętą z akt Sądu Wojewódzkiego w Krakowie:

Ona miała lat dziewiętnaście, on — niepełne 21. Obydwoje już pracowali w różnych instytucjach. Pobrali się 27 kwietnia br.; w planie przewidziana była „podróż poślubna”: miesięczne wspólne wczasy w Zakopanem. Tymczasem jemu przedsięwzięcie w ostatniej chwili cofnęło urlop — dla jakichś ważnych przyczyn, obojętnie jakich. Ona, uważając, że mimo wszystko należy się jej odpoczynek po roku pracy, i że następne skierowanie do Zakopanego nie tak łatwo będzie otrzymać — nie zrezygnowała z wczasów, wyjechała. W dniu 5 maja wpłynął do Sądu Wojewódzkiego pozew o wszczęcie postępowania rozwodowego. Wnoszącym pozew był 9-dniowy małżonek. Przyczyna: „trwały rozkład pojęcia małżeńskiego”. Do pozwu dołączono dowód rzeczowy: kartkę pocztową z Zakopanego treści następującej: „Kochany, świetnie się tutaj bawię, pyszne towarzystwo, pyszna pogoda i pyszne jedzenie. Żałuję, że Cię tu nie ma, stary zaurożnik! — Twoja żona”.

Anegdota, jak anegdota: nie ma pretensji do wyzerpania całości problemu, ale pokazuje chyba w specyficznym wyjątkowości jego atmosferę.

Sens tej anegdoty staje się gorzki, kiedy skonfrontuje się go z życiem, kiedy poszuka się przyczyn i skutków.

Posłużmy się znowu cyframi: oto wiek 15 małżeństw, zawartych w Nowej Hucie w pierwszych dniach bieżącego roku (kolejno, według ksiąg Urzędu Stanu Cywilnego). Na pierwszym miejscu mężczyźni, na drugim kobiety. Cyfry wyłuszczone dotyczące małżeństw, w których żona jest starsza od męża): lat 23—24, 30—24, 26—24, 26—24, 22—26, 19—20, 27—27, 25—21, 43—31, 24—31, 21—19, 25—22, 28—20, 19—22, 19—20, 20—25.

A to taka sama liczba małżeństw w Krakowie (również kolejno z pierwszych dni stycznia br.): lat

W poszukiwaniu epickiego klucza



Stanisław Lem: Czas nieutraco-
n y. Wydawnictwo Literackie, Kra-
ków 1955. Str. 662, + 3 nrb.

Proszę mi wybaczyć, że nie będę równie dyskretny, jak kolega L. Bart, który — recenzując „Polską jesień” Szczepańskiego — takownie przemilczał datę ukończenia książki. Był to zaiste wzruszający gest wobec ludzi, którzy tę książkę przetrzymali pełne sześć lat, a teraz — uśmiechnięci pogodnie — usprawiedliwiają się etapem. Nam grzechy etapu starannie wpisano do kartotek personalnych, rzec można, że już mamy „życiorys z haczykiem”, ogromnie podniecającym recenzentów; idę nawet o zakład, że na Sądzie Ostatecznym też mi się będą tłumaczyć z mojego sekretarza brzozy. No i koniec końców będą mieli rację, ktoś bowiem, jak nie ja, wypiechlł tego czerwonego proboszcza? Głodem mnie nie brali, ani też nie byłem pod narkozą, najwyżej we mnie to i tamto wgadano, ale — naiwny, czy zblakany — sam to wszystko robiłem dobrowolnie i dziś mi nawet przez myśl nie przejdzie, żeby się wypierać odpowiedzialności.

Dłatego z takim gniewem patrzę na cenzorów, redaktorów, wydawców i wszelkiego autoramentu sekretarzy, jednym słowem na ludzi, którzy wówczas zasiadali w literackim biurze przepustek; gotów jestem wielkodusznie dzielić z nimi winę nie wnikać, czyja cząstka większa, ale nie mam zamiaru brać jej tylko na siebie! Tymczasem, proszę, na ogół żadna z tamtych osób nie poczuwa się teraz do grzechu, wszyscy są czysti, nieskalani, dziewiczy, każdy wyrzut ich dziwi i — co gorzej — uraża. Oni przecież niczego nie chcieli, ślepe media dyrektyw, biedni lunatyki „etapu”!

A przecież zachowały się stenogramy ich przemówień i listy, podpisane odręcznym zygżakiem, w których — całkiem nawet przytomnie i z trzeźwością — nie mniejszą niż nasza — uzasadniali swe wyroki. Przecież za każdym razem, kiedy wstrzymywano wydanie jakiejś książki, obojętnie, czy to były „Głosy w ciemności”, „Portki Odysa”, czy też pierwsza, wiedeńska powieść Konwického — za każdym więc razem ktoś zgola namacalnie i zupełnie konkretny brał na siebie ciężar tej decyzji. I dziś, kiedy nasz aparat kulturalny podniósł się na nieco wyższy szczebel, można prosić o wyrozumiałość dla tamtych pomyłek; lecz nie każcie nam, moi mili, wierzyć, że działało się to bez was, automatycznie i jakby samo. Trzy lata temu masyzynopsis „Czasu nieutrconego” (opatrzony tymczasowo tytułem „Rzeka ognista”), został przez „Książkę i Wiedzę” przygotowany do druku; na własne oczny widziałem fioletową pieczątkę cenzury, wzwalającą na opublikowanie utworu, a mimo to powieść nie została wtedy wydana. Cóż, proszę państwa, zaszło, czy może etap się zmienił? Nie, zmienił się tylko prezes wydawnictwa. I oto książka Lema, jedna z ciekawszych pozycji prozy współczesnej, miała się od tej chwili tulać przez trzy lata po biurkach redaktorów i „recenzentów wewnętrznych”, aby dopiero tej jesieni doczekać się wydania w Krakowie. Prawda, że autor tymczasem to i owo pozmięniał, skrócił i wyczyścił, lecz z nikogo to, niestety, nie zdejmuje infamii: nie o takie poprawki szedł spór z „Książką i Wiedzą”. Prawda również, że powieść nie zrobiła się tymczasem czerstwą, lecz w ten sposób wolno pocieszać się tylko nam, czytelnikom i pisarzom. W ustach wydawcy taka pociecha brzmiałaby niemoralnie i za przeproszeniem — cynicznie.

Nie bez powodu rozpisałem się tak szeroko o bolesnych nieporozumieniach wydawniczych; boję się, że „zmiana etapu” jeszcze ich — sama przez się — nie wyklucza, trwać będą bowiem dopóty, dopóki pewni ludzie nie pojmą, że zapotrzebowanie na partyjność literatury trzeba wystawiać *in blanco*. Na razie zaś każdy z nich, wołając o dzieła odkrywcy i nowe, już je po swojemu widzi i słyszy. Już je sobie z góry i niejako na wyrost wobraża. Cóż potem za dysonans, gdy powstanie książka taka, jak „Czas nieutrcony”, a więc rzecz, której przezwidzieć nie podobna! Wszystko w niej jest bowiem rzeczywiście inne i chociażby już tylko przez to — zaskakujące, na dobitkę zaś autor dba pilnie o to, żeby nam żadnej z szokujących okoliczności nie

oszczędzić. Wielki obrachunek ze starą moralnością odbywa się w szpitalu dla wariatów, a wykład o walce klasowej — w areszcie UB, przy czym wykładowcą jest nie szef urzędu, lecz uwięziony komunista; generalny zwrot ku pozycjom partii zachodzi w bohaterze z powodu pewnej nota bene zbrodniczej — operacji macicy, podczas gdy uprzednie dyskusje z marksistami nie robiły na nim większego wrażenia. Można by wprawdzie dodać, że ci ostatni, choć daleko mniej bliski bliźni od swych intelektualnych przeciwników, przewidywają ich o głowę czyżby, ale wątpię, żeby to mogło uchoćnić za zaletę w oczach wielu administratorów naszej kultury, którym jeszcze do dziś słowa starczą nierzaz za uczynki.

Sprawa odbioru tej książki jest zresztą nielatwa już choćby przez to, że „Czas nieutrcony” ma budowę niesfora, miejscami wprost pesząca i dziwaczna, a wszędzie — bardzo niespokojna. Lem, jak wielu prozaików współczesnych, szamocze się w poszukiwaniu epickiego klucza, zanikłego wraz z odejściem Rostowów i Niechiczów. Konwencja familijna, oparta na systemie testów, stryjów i kuzynów nie mieści już w sobie dwudziestego wieku, jest zbyt kusa, przyciasna; jeśli można ją jeszcze po części zastosoować do Tatarskiego Chutoru, to miasmo już tego nie znieśie, w mieście inny typ związków międzyludzkich wyparł i zastąpił dawną szeroko rozgałęzioną rodzinę. Kierunki poszukiwań zaczynają się więc gwałtownie rozchodzić i oto mamy przeciwstawne próby nowej epickiej zasady: klucz konwicky, oparty na świadku, (bo kimże, w sensie czysto funkcjonalnym, jest adwokat Klim Samgin, jak nie świadkiem, obserwatorem czy widzmem?) — i klucz drugi, diamentralnie odmienny, a użyty niedawno w „Komunistach”; polega on na zastąpieniu konwicky rodzinnej tłokiem, dosyć zresztą męczącym, trzystu bohaterów Aragona zlewa się bowiem w magmę.

I u siebie, na naszym szczupłym jeszcze i bardzo nieogabym podwórku słyszymy echa tej szarpaniny. Spór o zasadę epicką ma dla nas znaczenie tym większe, iż epopeja zaczyna być podstawową formą polskiej prozy; niech poświadczą to „Obywatele”, czy „Lewany”, „Władza”, czy też „Wrzesień”.

Rozmaity bywa wyraz tej tęsknoty za nową konwencją, przybierając czasem — nawet w dobrych książkach — kształty niefortunne. Brandys, zaniepokojony obawą chaosu, uciekł się do klucza, który nazwałbym zasadą małego kręgu; nazwa jest oczywiście bezsensowna i — sam to czuję — nad wyraz nieszcześliwa, lecz przecież nie o nią mi chodzi, tylko o coś znacznie ważniejszego. Bo spojrzmy, w jakich granicach dramaturgicznych toczy się akcja „Obywateli”, a przynajmniej poważnej ich części: u Kuźnara, będącego dyrektorem budowy, mieszka dziennikarz Czyż; zwierchnik Czyża, Łękol, skłania go do fałszywego przedstawienia sytuacji w fabryce dźwigów „Zarzewie”; fabryka dostarcza złe maszyny Kuźnarowi i w ten sposób krąg się zamyka. Wybrałem, oczywiście, tylko jeden, najbardziej charakterystyczny przykład obowodu fabularnego; w książce, jak wiadomo, mamy ich więcej, lecz wszystkie z równą — jakże denerwującą! — precyzją odnoszą się nawzajem do siebie. Znakomita większość osób, występujących u Brandysa, potyka się ze sobą wedle reguł turnieju szachowego: „każdy z każdym”. Z tej całej zatem płatiny przewodów, kabli i uzwojeń, jakie w sumie tworzą sieć elektryczną współczesnego społeczeństwa, Brandys — niby wygodny monter — wybiera tylko połączenia najkrótsze. Bohaterowie jego książki bywają rozmaici, czasem bardziej płacy i wtórni, czasem ciekawsi i zrobieni ambitniej, lecz konwencja, która przy pomocy kilkunastu punktów wyznacza granice świata, wydaje mi się od początku do końca wadliwa.

Trudności, piętrzące się dokoła książki Lema, mają zgola odmienną podłoże, a to choćby dlatego, że „Czas nieutrcony” dosłownie wykipiał z naczynia: nie zakrojony początkowo na powieść epicką, rozrósł się, spęczniał i wzbierał w epos pod naporem przedstawianej rzeczywistości. Tylko na przestrzeni pierwszego tomu udało się lekarzowi Stefanowi Trzynieckiemu skupić wokół siebie uwagę autora; później drugi plan podniósł głowę i rozwałił konstrukcję utworu, wlewając się na karty powieści zdyszanym tłumem postaci: proletariusze i uczeni, akowcy i komuniści, Żydzi i Ukraińcy, chłopci i milicjanci zaczęli sobie z łapczywością wydierać dziesiątki stron i rozdziałów, spychając coraz dalej na bok zakłopotanego inteligenta Stefana. Ze wzruszeniem obserwowałem, jak Lem desperacko wiąże rozerwane końce, jak zagania wątki w kierunku Stefana, jak wreszcie — przez końcową kłamrę — chce stworzyć wrażenie, że napisał — mimo wszystko — powieść o Trzynieckim.

Ale to jest — w najlepszym razie! — tylko połowa prawdy. W gruncie rzeczy bowiem otrzymaliśmy wielowątkową epopeję, luźno ułożoną wzdłuż losu Stefana, epopeję, opartą na zasadzie kilku ścieżek obok drogi. I jeśli u Brandysa groźbę stanowiła zbytnia bliskość skrzyżowań, to tutaj mamy do czynienia z niebezpieczeństwem wręcz

przeciwnej kategorii, a mianowicie z obawą nadmiernego rozjęcia się wątków. Podczas bowiem, gdy w pierwszym tomie „Czasu” los mistrza Sekulowskiego pozostawał w najcisłej więzi z losami Stefana, to już o wspaniałych okupacyjnych peperowcach z drugiego tomu powiedzieć tego nie można; oni tylko przygotowują zmianę świata, w którym ów bohater żyje. I kiedy w tomie trzecim świat zaczyna drgać i rzeczywiście zmieniać się pod ich wpływem, Stefan, poruszony do głębi, pada dłoń rewolucji. W tym więc sensie niczyj czas nie został utracony na darmo: zetknięcie się z ludźmi starej, butwiejącej formacji napeliło bohatera obrzydzeniem, komuniści zaś, w toku wygęzionej walki, stworzyli mu warunki dla przemian.

Na tym jednak kończy się w gruncie rzeczy ów wspólny i nadzredny (choć czasem już nawet prawie pozabeletrystyczny) — porządek epicki. Próby nawiązania personalnych kontaktów między Stefanem a członkami okupacyjnej komórki — Marciniowem, Wielenieckim, czy Wilkiem — są na ogół dość powierzchowne, lub nawet mają posmak wymuszenia. Najważniejszy styk Marciniowa ze Stefanem, czyli spotkanie w Oświęcimiu, odbywa się poza tekstem i autor informuje nas o nim post factum. Do znajomości z Wilkiem — a więc z drugim centralnym bohaterem książki — w ogóle nie dochodzi; Stefan ociera się o niego tylko raz jeden, lecz też w sposób omal że nie fabularny, a mianowicie przechodząc o bok szopy, w której chłopak się znajduje. Pozostają rozmowy z Wielenieckim, lecz z tych tylko jedna, przeprowadzona w Urzędzie Bezpieczeństwa, wywiera jakiś wpływ na dzieje Stefana, pozostałe zaś nie mają z nim związku organicznego. Oczywiście, mógłbym jeszcze wskazać na szereg powizań „przez trzecią osobę”, czasem lepszych, jak w wypadku bezpiecznia-

przynajmniej większej ich części, na ogół motywacja przychodzi znacznie później, dorabiana przez krytyków „z dołu” i jedynie antydatowana przez twórców. Pocieszny byłby obraz Waltera Scotta, plamującego, że stworzy nowy gatunek literacki. To wszystko robi się przecież samo, ciekawe tylko, dlaczego?

Tendencje do zmywania bliskich związków w obserwuję od dawna i — rzecz prosta — nie tylko u Lema; jestem więc pewien, że nie może być ona dziełem przypadku. Niewątpliwie, trzeba ją łączyć z próbą wyjścia poza jednorodny krąg środowiskowy, a nawet — jeśli idzie o epikę komunistycznych — z próbą równoczesnego ukazania przeciwstawnych frontów społecznych. W tej sytuacji fakcie trudno zapłacić losy bohaterów, nie mających — z natury rzeczy — nie wspólnego ze sobą. Przecież, jaka dzieli ludzi, jedzących widelcem i nożem, od ludzi, którzy obgryzają kołtę na widelcu, jest fraszka wobec przepaści, jaka się otwiera między walczącymi klasami. Fabuła powieściowa, tak jednolita w powieści mieszczańskiej, rwie się teraz i sybie; wątki zaczynają się zmieniać w archipelagi dalekich wysp, otoczonych morzem, trudnym do przebycia; kontakty prywatne, tak nieodzowne dla beletrystyki, z rzadka tylko rozpinają się nad tym odmiennym. Cóż bowiem łączą wyspę jubilerów z wyspą sekretarzy partyjnych? Jak może Stefan, żyjący pod urukiem mistyka Sekulowskiego, znaleźć się wśród peperowców, otoczonych murem ścisłej konspiracji? Dwa obozy, dwa światy; most między nimi byłby mostem niewiarygodnym i Lem, czując tę niemożliwość, zmuszony jest w praktyce izolować oba nurty od siebie. Przypuszczam, że Konwicky rozegrałby te sprawy inaczej, ale czy z korzyścią dla akcji? W świetnej książce, jaką jest niewątpliwie „Władza”,

wspólnej herbatce z akowcem Andrzejem i wówczas jedyny węzeł, spajający te światy, polegałby na końcowym zamachu.

Wiążę się z tym jeszcze jedna sprawa, męcząca mnie od dawna, a mianowicie problem epickich granic naszej wiedzy o świecie. Śmiech powiedzieć, ale znajdujemy się w paradoksalnej sytuacji: mamy przecież nienajgorsze pojęcie o zjawiskach, zachodzących w kraju i za granicą, możemy się nawet z dużą dozą trafności domyślać, w jakim kierunku pójdą najistotniejsze przemiany gospodarcze czy socjalne, a równocześnie sąsiad za ścianą nadal stanowi dla nas zagadkę, żaden zaś z najgłębszych cybernetyków nie potrafi przewidzieć, czy nie zwolnią go na pierwszy dzień z posady. Otóż model epickiego mikrokosmosu, (zwłaszcza w swej odmianie powiatowej, niezwykle teraz modnej i przez nas wszystkich nadużywanej), a więc model ten, jeśli będzie zbyt konsekwentny, może się stać przyczyną poznawczego fałszu. Nie można grać w brydża na senio, patrząc w karty wszystkim swoim sąsiadom, a co innego, jak nie to właśnie, robi wielu naszych kolegów? Rozdział pierwszy: banda ostrzeliwuje kogoś nieznanego. Rozdział drugi: przetrucamy się niewzornie na przeciwną stronę i leżymy wraz z tym kims pod wozem. Adwersarze jeszcze się nawzajem nie rozpoznali, my jednak wszystko już o nich wiemy: przysnęła bariera tajemnicy. Oba wzmiankowane rozdziały są zresztą znakomite i użyłem ich tylko „na rybkę”. Nie wpływa to jednak na istotę sprawy: stosując taką metodę do wszystkich komponentów powieści, sugerowalibyśmy istnienie rzeczywistości już pozbawionej do końca. A przed tym trzeba się bronić: nie pozwalamy sobie na większą obiektywizację obrazu świata, niż ta, do jakiej zdolny jest nasz wielki dwudziesty.

Lem — w innych wypadkach — niemało nabruzdził przeciw regułom epickiego prawdopodobieństwa; klasycznym tego przykładem może być zaszczępienie ubowca Jakły na żywym cieple gszelczarza Zachlin-skiego. (Krzyżówka bynajmniej nie miczurinowska, choć przeprowadzona z dużym samozaparciem: bo z dwóch świętnych, lecz odrębnych postaci, powstaje jedna niestetyfikcyjna). Gdy jednak mowa o potrzebie pasów ciemności, dzielących obszary poznane, to Lem wykazuje w tym względzie na ogół dużą intuicję i delikatność. Przecież jeśli sięgnąć do pierwszego z brzegu przykładu, jego bohater Stefan pracując w szpitalu dla wariatów miał pod bokiem komunistyczną komórkę Pościka, raz nawet w czasie burzy otarł się o nią z bliska i autor, gdyby chciał, mógł być jednym pchnięciem sceny obrotowej zaprezentować nam tę historię „od lewej strony”, od tyłu. A jednak oparł się pokusie, czując potrzebę nie doprowadzenia: Pościk — długie lata miał dla nas pozostać dręczącym sekretem. Komunistów zaś trzeba było angażować gdzie indziej.

Istnienie natomiast talka dziedzina epickich frasnuków, której dotąd nie opowiadał żaden z naszych prozaików; może jeden Zieliński nadpoczął ją w „Ostatnich ognich”, ale także jej — w epickim sensie — nie udziwnął. A już Lema szczególnie nie ma tu za co chwalić. Mam na myśli sprawę masowych ruchów migracyjnych ludności, tak bardzo charakterystycznych dla naszego dzieściolecia. Ach, nie chodzi mi tutaj o powieść z życia przedsielców, o jakąś zabuzawisko-nadodrzańską odyseję; ja nie wołam przecież o temat! Gniewa mnie tylko dziwna i czasami wprost anachroniczna osiadłość bohaterów, to ich unieruchomienie geograficzne; pod tym względem „Dziadowska miłość” wydaje mi się wprost przykładowo statyczna.

Oburzam się więc, lecz sam nie znajduję ratunku. Pewno, że Nerwerly dał sobie radę z podrózkami Szczęsnego, ale też nie była to wielka sztuka, zajmował się tylko nim jednym. A jak to rozwiązać w epice? Jak — nie burząc sobie styków i kontaktów — kierować rozjazdami bohaterów? Jakim cementem zastąpić jedność miejsca, stanowiącą nieblahe spoiwo eposów mieszczańskich? Do jakich worków pakować rozbiegane wątki, jeśli wórek wspólnego miasta czy wspólnej wioski nie oddaje specyfiki czasu? Dąbrowska silniej niż ktokolwiek inny wyzwała tę dynamiczność dzieściolecia, nikt też poza nią nie pokusił się o utrwalenie tego socjalnego faktu na piśmie; lecz i ona nie wskazała nam żadnych nowatorskich narzędzi. O ludziach, którzy biorą udział w toczącym się „Na wsi wesołu” dowiadujemy się — po raz pierwszy zresztą w literaturze — iż zostali przez los w pełni porzuceni na po kraju. Tak, lecz autorka przedstawia nam ich w momencie wyjątkowym, a więc w chwili, kiedy przejściowo znaleźli się znowu razem...

Większość pisarzy broni się przed tą zgryzotą unikami: po prostu „zaskalają” sobie teren, który im będzie potrzebny. Mieszkańcom miast, leżących na tym obszarze, wydaje się surowy zakaz przeprowadzek i służbowych przeniesień, chłopcom zabrania się masowego wędrowania do fabryk, (chyba, że są to zakłady przemysłu miejscowego), nikt nigdzie nie dojeżdża, wszyscy są za dziada pradziada tutejsi i zadomowieni... Najzabawniejszą wydaje mi

się pod tym względem sprawa powiatowych sekretarzy partii. Powszecznnie przecież wiadomo, że — przynajmniej do niedawna — byli to ludzie bez przerwy przetrzuci z miejsca na miejsce; to „brano” ich na wyższe stanowiska, to „dawano” na trudniejszy teren, to znów „zrucano” za błędy. W każdym razie mało który zagrał na dużej swoje sekretarskie krzesło. Tymczasem — jeśli znieść wyjątek dla Machajki — we wszystkich naszych książkach są oni wcieleniem trwałości i bezruchu. Wynika to, rzecz prosta, nie z naszej ślepoty, lecz z trudności natury kompozycyjnej, o których wspominałem powyżej.

Lem unika tej sprawy jak ognia; ilekroć jego bohaterom trała się poważniejsza — w znaczeniu czysto przestrzennym — rozjaka, opuszcza ich, czekając, aż się zjawia z powrotem. Czasem któregoś odprowadza do bram obozu, czasem też — dla odmiany — wyjedzie po innego do Stolicy, lecz ani razu nie zdarza mu się angażować w jakieś tam te, zamiejscowe sprawy. Nie robię mu z tego wyrzutu, lecz stwierdzę muszę, że wciąż jeszcze czekamy na słuszarza, który by dopasował klucz do tego epickiego „yale”.

„Czas nieutrcony” dał nam za to próbkę — interesującą co prawda, choć skromną — rozwiązywania innych kłopotów, dręczących dzisiejszego prozaika. Jest w tomie trzecim pewna scena, na którą żaden z recenzentów nie zwrócił zapewne uwagi, jako że z punktu widzenia jakichś założen generalnych odgrywa ona rolę rzeczywiście uboczną. Myślę o epizodzie, poświęconym lekturze „Biuletynu atomowego”. Lem, posługując się na przemian to własną narracją, to cytatai z amerykańskiego czasopisma, stara się nam przekazać niepokój człowieka, zagrożonego niebezpieczeństwem atomowym. Fragment ów służy autorowi w bardzo istotnym przedsięwzięciu, ma on bowiem ugruntować przełom, dokonany poprzednio w postawie bohatera i pchnąć go jeszcze o krok dalej na jego drodze ku partii. Przytaczam tę historię nie dlatego, abym ją uważał za szczególnie sukces artystyczny autora, aczkolwiek jest naprawdę zrobiona przejmująco i ciekawie; chodzi mi w tym wypadku o zjawisko natury ogólniejszej i szerszej, z którym, jak sądzę, zetknąć się musiało wielu moich kolegów po piórze.

Mam na myśli szczupłość środków, z jakimi przystępujemy do pracy wszędzie tam, gdzie chodzi o pokazanie przemian intelektualnych bohatera, zwłaszcza zaś roli, jaką w tych przemianach odegrała nie baza, lecz nadbudowa. Ilek z powstanych, mimo że prymitywnych zagrań! Jakis wikariusz podmacał dziewczynę, a więc bohater zraża się do katolicyzmu; jakis radca zakładowy okazał się człowiekiem koleżeńskim, a więc bohater staje się marksistą. Upraszczam, oczywiście, ale sens tych przykładów nie ulega przez to zmianie; jesteśmy warsztatowo bezbronni wobec doktryn, jeśli nie dają się one przetłumaczyć na fabularne zdarzenia! Nie zatem dziwnego, że nie umiemy pokazać i wystopniować nawet tak prostego pod względem intelektualnym procesu, jak odbywająca się nieustannie zmiana stosunku Polaków do Związku Radzieckiego. Obrabiarką „Krasny proletarij”, ani murarzem z Pałacu Kultury nie załatwi się tych spraw na serio; przecież prawdziwą ich treścią jest zrozumienie miejsca Sowietów w historii, nie zaś moment doradziej — i to bądź co bądź skomplikowanej — wdzięku. Pamiętam fragment „Sukcesu” Feuchtwangera, mówiący o wrażeniu, jakie na którymś bohaterze zrobił seans „Pancernika Potiomkina”.

Książka, jako całość, nie przypada mi zbytnio do gustu, ale ta scena obudziła moją czujność. Jest ona wprawdzie chwytem jednorazowym i konwencji się z niej nie wykroi, zresztą byłaby to — na stałe — konwencja bardzo tania; ale widzę w niej dla nas sygnał alarmowy. Oto żyjąc w epoce niebywałej ekspansji systemów ideowych na masy, potrafimy tłumaczyć je tylko przez osobę chłopca z Salskich Stępów. A gdzież skutek milionów książek i koncertów, przedstawień i filmów, wykładów i kursów, skryptów i podręczników, gdzieś, jednym słowem, cała kultura, pojęta nie jako aparat, lecz jako proces? Czuję przynajmniej abeletrystyczność tego działania najwyższych pięt nadbudowy na ludzka świadomość, a przecież jest ono faktem, istnieje, zachodzi! Czy wobec tego można się z nim w ogóle nie liczyć? Wątpię; z chwilą bowiem, kiedy jakieś zjawisko zaczyna powszechnie grać w życiorysach bohaterów, epik nie jest już w stanie wymunać, chyba że bez ustanku będzie jechał zygżakami, zamieniając każdą os fabularną w jeden niekończący się siłom-gigant.

Na tym kończę swoje uwagi o epice, zanotowane na marginesie „Czasu nieutrconego”. Zawarłem w nich, sam to widzę, zaledwie drobną cząstkę tego, co lektura tej książki budzić musi w każdym czytelniku; jestem jednakże pewien, że jeszcze nieraz będziemy do niej wracać w naszych literackich dyskusjach. Bo jest to niewątpliwie jedna z tych ambitnych i bogatych, choć niespokojnych książek, nad którymi nie sposób przejść w zwykłym trybie do porządku dziennego.

Aleksander Ścibor-Rylski

WITOLD WIRPSZA

SZTUKA WIDZENIA

Zauważyłem, że w sobotnie popołudnia,
A także w niedzielne poranki,
W piękną pogodę, kiedy wierzchołki kasztanów
Polyskują w słońcu —
Robotnicy w moim mieście,
Pracujący cały tydzień w porcie albo stoczni
I wybrawszy się teraz na przechadzkę,
Mają chód osobliwy.

Oto idą ciężko,
Kroki stawiają małe,
Zaś ruchy ich postaci są takie,
Jakby nieśli we wnętrzu swoich ciał
Coś niezwykle łamliwego;
Łamliwego, albo — uwierającego.

Stanowi to niewątpliwe przeciwieństwo
Pięknej pory dnia.

Ale dzieje się tak,
Ponieważ wielu z nich
Sprawiło sobie niedawno
Nowe buty na mocnej podeszwie;
Stąd początkowo
Pewna niedogodność.

Oczywiście,
Bywają bardzo różne przyczyny,
Dla których robotnicy w sobotnie popołudnia chodzą,
Jakby mieli we wnętrzu swych ciał
Coś niezwykle łamliwego.

W moim kraju jednak,
Jak zauważyłem,
Są takie właśnie przyczyny.

ka Jakły, czasem zaś, jak w sprawie ministra Aleksandra — słabszych, ale zasadniczo sytuacji to nie zmienia: powieść powstała z przetłuszczenia kilku autonomicznych i prawie neutralnych wobec siebie wątków. W rezultacie mamy do czynienia z trudnym, dotąd u nas raczej nie praktykowanym modelem dramaturgicznej równowagi.

Nie łatwo powiedzieć, czy to model szczęśliwy; bez wątpienia, dość byłoby przeciąć te parę fastydy, zsywających poszczególne człony, by otrzymać dwie najzupełniej osobne książki, tyle, że, wspólnie oparte w jednym grubym woluminie. Z drugiej strony jest przecież faktem, że czytając powieść Lema nie odnosimy wrażenia zbyt wielkiej rozłączności; pisarz zmusił nas do przyjęcia wszystkich naraz. Mniejsza zresztą o ocenę; kompozycja ta — dobra czy zła — nie spada przecież z nieba, ani autor nie wysysał jej dla rozrywki z olówka firmy L. C. Hardtmuth; wyznam zresztą na boku, iż nie wierzę w pełną świadomość literackich zamysłów, a

niepokoi mnie stosowana przez niego osmoza środowisk: dziewczyna ma tam stanowić błonkę między burżazją i partyjnym proletariatem. Wierzę u Konwického we wszystko, podziwiam nie tylko bandę, która tak zasmakowała Kottow, lecz i komunistów, ukazanych w przejmującym, (lecz jak pouczającym!) konflikcie z partią; a jednak Helena w roli łącznika mnie peszy. Czuję tu nacisk raczej literackiego, niżli życiowego porządku. Według mnie zresztą łózko, (czy może tapeczan higieniczny?) — zbyt często występuje teraz jako pomost między walczącymi klasami.

Mógłby mi ktoś zwrócić uwagę na „Popiół i diament”, pozostający wciąż jeszcze czytelnym osiągnięciem naszej epiki współczesnej. Istotnie, Andrzejewski zaplął go na ostatni guzik, obchodząc się bez konstrukcyjnych o r o z z i e w u, a zarazem nie kłamiąc. Tak, lecz bohaterowie jego książki należą niemal bez wyjątku do jednego zakreślenia środowisk; gdyby nie to, Szczuka nigdy by się nie znalazł na

ODWIEDZINY

Jacek tylko na mgmienie otworzył oczy, gdy zegar wybijał godziny. Zauważył wtedy, że ściana przeciwnie była już cała w słońcu, więc dzień chyba dawno się zaczął. Co prawda śpiew ptaków budził go już przed tym nim zegar zadzwonił, ale ptaki zrywają się o świcie. Niepokoili go jedynie zegar, który przed chwilą się odezwał. Ile to było uderzeń? Jeżeli sześć, wchodziła zaraz babcia ani nicpoń! I Jacek nie pozwolił obrażać prawdziwego Prezydenta!

Szczytem wszystkiego było wyznaczenie wypowiedziane w krzyku, we łzach, że Prezydent Wenderdyk obiecał zabrać Jacka do kraju Wenderdyji. — Obiecał zabrać! zabrać! — krzyczał w rozpacz. To, co później się stało, było zasłużoną karą, uznaną nawet przez samego Jacka, gdy tego dnia wieczorem, oczekując przybycia Prezydenta, rozważał swoje złe zachowanie się przy stole i tę scenę na podłodze doprawdy brzydka, której się teraz wstydił. Jacek dostał wówczas od ojca parę klapsów i odesłany do ciasnej kuchni, mógł już bez przeszkód się wypłakać.

Gdy po pewnym czasie ojciec wychodził do miasta, zajął Jacka i powiedział surowo:

— No, już dość placzu, mazgaju. Ja ci wybije z głowy tego „Prezydenta!” Ja ci go wybije!

Tak oto wykryła się tajemnica Jacka i wszystko wzięło obrót nęjszy, bo w całej sprawie zwyciężyła babcia, która dziś ma pójść z Jackiem do tej właśnie instytucji, gdzie badają dzieci tak trudne i nieznosne jak on.

Dlatego babci jeszcze nie słychać? Dlaczego nie krzyczy, aby wstawał?

Pewno zegar wydzwonił piątą i można wobec tego jeszcze drzezać, można oczekiwać w półśnie przybycia Prezydenta Wenderdyka. Ale czy przyjdzie? Czy przyjdzie?

Za otwartymi oknami, w ogrodach otaczających dom już dawno rozpoczęło się życie. Znajomy ptak, którego śpiew przypominał gwizdanie, co chwila zrywał się, przelatując z drzewa na drzewo. Jego gwizd był, jak strzała w locie, urywał się szybko, trwał zaledwie przez chwilę. Inne ptaki miały więcej czasu na swoje śpiewanie, nie leciały tak prędko, może w ogóle wolały siedzieć na drzewach i śpiewać powoli, długo, to samo?

Była już teraz duża wiosna. Tak mówił Prezydent Wenderdyk, że wiosna teraz już duża. Bo najpierw jest mała wiosna, później duża, po niej następuje małe lato, po nim duże, po dużym lecie mała jesień, później duża jesień, po niej znów mała zima, która się przeradza w dużą zimę. Z tej dużej zimy wyłania się mała wiosna, po niej duża jak teraz.

Tak się wszystko przemienia — mówił pan Wenderdyk — tak samo dzieje się z porami roku, jak i z człowiekiem. Najpierw człowiek jest mały, potem duży...

— Ale gdy ten duży rodzi małego — ośmielił się wtargnąć Jacek — to duży nie odchodzi i ciągle jest. Mój tatuś i ja, i mój nowy braci-

— No, któż to jest ten Prezydent Wenderdyk? Pewno taki sam nicpoń jak i ty? Za dużo jadają przed snem i dlatego śnią ci się takie głupstwa.

Jacek zachował się tak, że nie mógłby tego pochwalić nawet Prezydent Wenderdyk. Po prostu rzucił się na podłogę, bił w nią pięściami i krzyczał na cały głos, że to nieprawda co ojciec mówi, co mówią wszyscy! Prezydent Wenderdyk to nie żadna zabawa ani bajka ani nicpoń! I Jacek nie pozwolił obrażać prawdziwego Prezydenta!

Szczytem wszystkiego było wyznaczenie wypowiedziane w krzyku, we łzach, że Prezydent Wenderdyk obiecał zabrać Jacka do kraju Wenderdyji. — Obiecał zabrać! zabrać! — krzyczał w rozpacz.

To, co później się stało, było zasłużoną karą, uznaną nawet przez samego Jacka, gdy tego dnia wieczorem, oczekując przybycia Prezydenta, rozważał swoje złe zachowanie się przy stole i tę scenę na podłodze doprawdy brzydka, której się teraz wstydił. Jacek dostał wówczas od ojca parę klapsów i odesłany do ciasnej kuchni, mógł już bez przeszkód się wypłakać.

Gdy po pewnym czasie ojciec wychodził do miasta, zajął Jacka i powiedział surowo:

— No, już dość placzu, mazgaju. Ja ci wybije z głowy tego „Prezydenta!” Ja ci go wybije!

Tak oto wykryła się tajemnica Jacka i wszystko wzięło obrót nęjszy, bo w całej sprawie zwyciężyła babcia, która dziś ma pójść z Jackiem do tej właśnie instytucji, gdzie badają dzieci tak trudne i nieznosne jak on.

Dlatego babci jeszcze nie słychać? Dlaczego nie krzyczy, aby wstawał?

Pewno zegar wydzwonił piątą i można wobec tego jeszcze drzezać, można oczekiwać w półśnie przybycia Prezydenta Wenderdyka. Ale czy przyjdzie? Czy przyjdzie?

Za otwartymi oknami, w ogrodach otaczających dom już dawno rozpoczęło się życie. Znajomy ptak, którego śpiew przypominał gwizdanie, co chwila zrywał się, przelatując z drzewa na drzewo. Jego gwizd był, jak strzała w locie, urywał się szybko, trwał zaledwie przez chwilę. Inne ptaki miały więcej czasu na swoje śpiewanie, nie leciały tak prędko, może w ogóle wolały siedzieć na drzewach i śpiewać powoli, długo, to samo?

Była już teraz duża wiosna. Tak mówił Prezydent Wenderdyk, że wiosna teraz już duża. Bo najpierw jest mała wiosna, później duża, po niej następuje małe lato, po nim duże, po dużym lecie mała jesień, później duża jesień, po niej znów mała zima, która się przeradza w dużą zimę. Z tej dużej zimy wyłania się mała wiosna, po niej duża jak teraz.

Tak się wszystko przemienia — mówił pan Wenderdyk — tak samo dzieje się z porami roku, jak i z człowiekiem. Najpierw człowiek jest mały, potem duży...

— Ale gdy ten duży rodzi małego — ośmielił się wtargnąć Jacek — to duży nie odchodzi i ciągle jest. Mój tatuś i ja, i mój nowy braci-

szek Adaś. My jesteśmy i tatuś też jest.

— Ach, Jacku — odezwał się wówczas z podziwem Prezydent Wenderdyk. — Jesteś bardzo mądry i bystry, mimo że masz dopiero sześć lat. To prawda, Jacku, że z ludźmi jest trochę inaczej niż na przykład z latem lub jesienią, z wiosną lub zimą. Mały człowiek i duży człowiek mogą istnieć razem, ale tylko do czasu. Tylko do czasu. Natomiast nie mogą istnieć jednocześnie dwie wiosny: mała i duża, — Tak, tak. Nie mogą istnieć panie Prezydencie.

— Jesteś mądry, Jacku — i bardzo jesteś ładny.

— Jak to? I nie mam odstających uszu? Zawsze brudnych?

— Nie. Uszy masz równe i kształtne.

— I rle mam kluski zamiast nosa? Ani szczeciny zamiast włosów? Och, panie Prezydencie. Mówią na mnie „brzydalu”.

— Masz nosek bardzo prosty i cienki. A włosy tak miękkie jak futerko kota lub jak piórka perliczek pod skrzydełkami. Widziałeś perliczki?

— Widziałem. Widziałem za szybą w sklepie myśliwskim. Och, panie Prezydencie, więc jestem ładny?

— Jesteś bardzo ładny, Jacku. Pocałuj cię w nosek, w uszy, we włosy.

Jacek pamięta te pocałunki, tak miłe, najśłodsze, jakby całował go ojciec. Ale ojciec całuje tylko nowego braciszka Adasia.

— Więc jest duża wiosna — myśli Jacek — duża, czyli duże słońce, duże drzewa zielone, szumiące gałęziami i duże ilości ptaków.

Poruszył się niespokojnie na swym łóżku wciąniętym między okna a szpiarnię, bo zdawało mu się, że słyszy czyjeś stapanie. Może to już babcia? Wchodziła zawsze prędko, w pośpiechu, potraçała przedmioty w kuchni, ubrana dziwnie, nawet śmiesznie. Jak na babcię, ta nowa babcia, matka nowej mamy, była za młoda i za ładna. Zjawiała się z rana w kuchni w różowym szlafroku, z włosami skręconymi w papiloty. Lubiała się nalaować i gdy tylko zbudziła Jacka, zniknęła w łazience, z której wychodziła po chwili już z rumieńcami na policzkach z jaskrawą czerwienią warg i z ciemnymi kreskami na brwiach. Nakazała Jackowi nazywać siebie „Kicią”, nie babcią, czego Jacek nie lubił. Babcia nie chciała być babcią i nieraz przy stole narzekała, że musi zajmować się gospodarstwem i wychowywać dzieci. Kiedyś wręcz powiedziała, że zamierza wyjść za mąż. Bo czy nie ma prawa do tego? Prawa do

miłości? Nie chce też być sama jak kotek. — Jak kotek!... zapiszczała w podnieceniu i odeszła wtedy od stołu zapewne dlatego, aby sobie popłakać.

Tatuś zakrzuszył się jedzeniem, bo chciał się śmiać, i powiedział, gdy przetrknął, że babcia ma źle w głowie.

— Ależ Witusiu — mówiła nowa mama, poprawiając sobie okulary — cóż chcesz? Każdy ma prawo do szczęścia.

— Wcale jej tego nie bronię — odpowiedział ojciec, ale ciągle się śmiał. Mama zbierała talerze, a babcia w drugim pokoju płakała, gdyż chciała mieć „prawo do miłości”.

Nie lubiła się z tatusem, toteż i Jacek nie lubił babci „Kici”. Niedawno w czasie nieobecności rodziców babcia zamknęła Jacka w pokoju z Adasiem i przykazała, aby pilnował małego, bo sama będzie zajęta. Ma ją odwiedzić przyjaciółka, z którą musi załatwić ważne sprawy. Niech więc Jacek siedzi cicho, pilnuje Adasia i nie wchodzi do pokoju. Babcia była ubrana odświętnie, szyję obcisłały czerwone korale, a z lewej strony miała do sukni przypiętą różę, też czerwoną. Mówiła głosem śpiewniejszym niż zwykle, uwiłaja się szybko po mieszkaniu i znikła często w kuchni, skąd rozchodził się zapach kawy.

Przyjaciółka babci „Kici”, jak łatwo stwierdził Jacek, miała męski głos i męski śmiech. Wizyta trwała długo, Adaś dawno się zbudził ze snu, ale Jacek pilnie wykonywał polecenie babci i nie wchodził do pokoju. Wesoła rozmowa babci z jej przyjaciółką o męskim głosie była dla Jacka niemiłym wspomnieniem, z czego nie omieszkiał się zwierzyć podczas wizyty Prezydenta Wenderdyka. Ale Prezydent był innego zdania. Twierdził, że dorosła, a zwłaszcza dorosła, których się nazywa babcią lub dziadkiem, mają dziwne znajomości i jeszcze dziwniejsze zwyczaje. Jeśli się zdąży, że babcia jeszcze raz będzie miała wizytę przyjaciółki o męskim głosie i jeśli zażąda, by nie wchodzić do pokoju — należy jej postuchać. Można wtedy zająć myśl czymś innym, na przykład: obliczyć ile czasu zużyje konik polny na przebycie głównej alei w parku, którą widać z okna, a ile mrówka? Należy to obliczyć, aby nie myśleć o babci, która nie chce być babcią.

A jednak nie wszystkie babcie są takie, jak ta! — chciał odpowiedzieć Prezydentowi, ale nie wiedział, czy wypada mieć inne zdanie wobec tak mądrego człowieka.

— Tamta babcia! — westchnął

teraz. I jak zwykle zaczęło go coś dławić w gardle i nie mógł przekonać śliny. To z żalu. Z żalu, że nie ma już tamtego domu ani tamtej babci, tamtej mamy i tamtego ojca, chociaż ojciec jest ten sam. Ale czy naprawdę ten sam?

Gdy rodzice się rozwodzili i szli każde w swoją stronę, zapytali Jacka, czy chce pójść z ojcem czy z matką? Bez słowa rzucił się w ramiona ojca. Z matką pozostała Basia, starsza od niego o dwa lata.

Jacek wybrał ojca, nie wiedząc, że ojciec całą niechęć do matki przerzuci na niego. Nowa mama nie była ani zła ani dobra, i to samo ktoś bezstronny, jak na przykład Prezydent Wenderdyk, mógłby powiedzieć o ojcu. Nie bił Jacka, nie krzyczał, ale Jacek nieraz wolałby bicie i krzyki, byleby później ojciec przycisnął go do siebie, byleby powiedział jakieś słowo, może słowo przebaczenia? i byleby, co było najskrytszym, najgłębszym marzeniem Jacka — byleby choć raz wziął go za rękę i poszedł z nim do miasta, i aby tak idąc długo ulicą i ciągle trzymając się za rękę zaszli do cukierni na lody.

Tak przecież szli ojcowie ze swoimi małymi synkami, o czym można było się przekonać, kiedy się wyszło do parku lub na ulicę. Ojciec na taką wyprawę z Jackiem nigdy nie miał czasu. Nigdy go już nie brał na kolana, odkąd urodził się Adaś, nigdy nie pocałował, nie przycisnął do siebie. Nie lubił, gdy Jacek obejmował go za szyję, nie lubił też gdy płakał, bo jak powtarzał przy stole, Jacek jest chorobliwie przeczułony i mazgajowaty.

— Co z ciebie wyrośnię? Co z ciebie wyrośnię? — odpychał Jacka tymi surowymi słowami. — Jesteś nieznosny. Jesteś podobny do swojej matki.

Jacek przyznawał, że zapewne jest podobny do matki. Bo i ona płakała z powodu ojca. Ojciec nie chciał, żeby go kochać, albo nie lubił takiego kochania, jakie miała dla niego matka. Ojciec nie lubił też kochania Jacka.

Mama z nowym swoim mężem, z Basią i dobrą, prawdziwą, starą babcią — mieszka teraz w innym mieście. Przyjeżdża od czasu do czasu i spotyka się z Jackiem u swej siostry, cioci Ani. Przyjeżdża na krótko, ma zawsze dużo interesów, dużo spotkań, i nie starcza jej czasu, by z Jackiem rozmawiać lub być z nim, mówić o wszystkim spokojnie, bez pośpiechu. Mógłby przecież opowiedzieć mamie o przedszkolu, o tym co się dzieje w parku, gdy jest duża wiosna, i może o tym co się dzieje w kraju Wenderdyji. Ale mama nigdy nie

lubiła opowiadać, żadnych opowiadań, bo ją nudziły.

— Nie nudź mnie — to była stała odpowiedź na prośby Jacka, by opowiadać. Teraz, gdy przyjeżdża, zaledwie zdążyła pocałować w policzek, już gdzieś się spieszy. Zażądał też pytanie: — czy ci dobrze u ojca? — nie czeka jednak odpowiedzi, bo ma pilny telefon lub obawia się spóźnienia na umówione spotkanie w cukierni.

Alle Jacek lubi te przyjazdy, bo lubi chociażby popatrzeć na mamę, na jej niespokojne ruchy, na jej zatroskana twarz, tak skora do płaczu. Mama jest tak drobna, tak młoda, że gdy idzie z Basią, może uchodzić za jej starszą siostrę. O jednym zawsze mama pamięta, by obdarować Jacka słodyczami i jakimś kosztowniejszym prezentem. I odjeżdża prędko, najczęściej nagie, na skutek depezy od swego nowego męża.

Powroty od mamy do ojca są bolesne dla Jacka. Ojciec wysmiewa mamę i najczęściej mówi o niej „wariatka”. Nie podobają mu się też prezenty, jakie Jacek z dumą pokazuje i zawsze je musi skrytykować.

Więc Jacek wie, że ojciec pragnie, aby nie lubił mamy, i wie także, że mama pragnie, aby na jej pytanie, czy jest mu dobrze u ojca, odpowiadał, że źle, że ojciec jest niedobry lub wręcz zły.

Jacek nie może stanąć po żadnej stronie, mimo że wybrał ojca i porzucił niejako mamę. Nie oznacza to, by o niej nie pamiętać, nie kochał jej, by za nią nie tęsknił.

Po jednej z tych nieudanych wizyt matki, gdy po powrocie do domu ojciec bardziej niż kiedykolwiek wypominał mu podłość do niej, „do tej wariatki”, gdy odrzucił Jackowi czeski czerwony łożek, jaki dostał w prezencie, tak że poczuł się z biurka na podłogę i pękł, gdy nagle odepchnął Jacka od siebie — dopomina się wówczas miara gorczy.

Był już wieczór i Jacek musiał się szykować do snu. Zdało się też, że na świecie urodziła się z dużej zimy mała wiosna. Tak, tak było. Rozwierając się w kuchni pakał cicho, nie tyle łzami ile całym sercem. Inni mieli matki, z którymi mogli śmiać się i bawić, mieli ojców, którzy szli aleją parku lub ulicami ze swoimi małymi synkami, trzymając się za rękę, opowiadając sobie wesoło. Dlaczego tak z nim jest, że matka daleko a ojciec go nie lubi, bo jest do matki podobny? I wtedy coś dawno zasyzgał go przez Jacka zaczęło przeradzać się w nadzieję, że i on może mieć kogoś, kto go pokocha, kto będzie mówił z nim poważnie i czule, będzie dotykał piśeczotą i całował. Naturalnie musi to być jego tajemnica strzeżona pilnie przed całym światem. Nie będzie już sam. Nie będzie sam!

Tak narodził się, wezwany rozpaczą i pragnieniem serca, ukochany, dostojny gość: pan Prezydent Wenderdyk z kraju Wenderdyji.

Nie dziwiło to Jacka, że Prezydent miał głos ojca i że piśeczotą ręką, pocałunki — były takie, jakby je odbierał od najdroższego, który nim wzgardził.

Prezydent Wenderdyk jest Prezydentem wszystkich dzieci, które są pozabawione kochania. Tak właśnie Jackowi tłumaczył podczas pierwszej wizyty, że jest Prezydentem tych dzieci, które płaczą nie wiedząc dlaczego, których matki mają nowych mężów, których ojcowie mają nowe żony, a oni sami są odepchnięci, bo ojcom przypominają nielubiane matki, matkom znów przypominają złych ojców.

Kraj Wenderdyji — mówił Prezydent — jest krajem smutnych dzieci, które tam odnajdują to czego nie mają w domu. Jest to kraj miłości, a jego nazwa oznacza: Wszystko Jest Dobre i Wesołe.

Jacek znów poruszył się niespokojnie w łóżeczku, bo zdawało mu się, że słyszy kroki babci „Kici”, która zjawi się zaraz w różowym szlafroku i papilotach skręconych z złotych włosów. Ale nie. Nikt nie stapał, nikt nie szedł do kuchni. W jednym pokoju spał ojciec z nową mamą, w drugim — babcia z Adasiem. Jacek próbował przez chwilę myśleć o tym co go czeka w dniu dzisiejszym, o jakimś doktorze, do którego ma pójść z babcią, ale znużony ciąglem lekkim nagłym zbudzenia — zasnął mocno.

W jakiejś chwili posłyszał przełot ptaka pod oknem, który zagwiżdżał krótko i ostro, a potem poczuł na swych rękach znajome, piśeczotliwe dotknięcie.

— Dzień dobry, Jacku — odezwał się Prezydent Wenderdyk.

— Dzień dobry, panie Prezydencie — odpowiedział grzecznie, nie otwierając oczu, bo pana Wenderdyka widzi się najlepiej, widzi się jedynie pod przymkniętymi powiekami.

— Czy pan wie — mówił Jacek — że idę dziś z babcią „Kicią” do doktora, który ma mi wybić z głowy pana, panie Prezydencie?

— Nie bój się niczego, Jacku. Dorosli często się mylą i źle przewidyują. Chcą wybić z głowy to czego wybić nie da, chociaż sami mają w głowach wiele takich rzeczy, które nalażąłoby im wybić. Ach, bardzo dziwni są dorośli, i dla

BOGDAN OSTROMECKI

TRZY WIERSZE

* * *

I znów powracam do chwili jednej,
która istnieje pomiędzy wierszem
i moim samotnym milczeniem —

pomiędzy wierszem i ciszą tak wielką,
jak cisza chłodna gdy nieraz pod zachód
spływa na ziemię.

Gdy za oknami ciężkie topole
trzęsą listkami o zmroku,
gdy na przedmieściu moim, wieczorem
cicho, śladami ostatnich kroków
skrada się spokój.

Powracam teraz, by oddać słowo
nie tej słodczy, co tu urokiem chwili gasnącej
każdą gałązkę nasycą.

Słowo oddaję krokom człowieka,
który ostatni powraca do domu,

by w jego dźwięku ciszę odnalazł,
której już może nie czekał,

* * *

Pisać nie po to, by okłamywać się pisaniem,
być tylko echem słów, być zdarzeń powtarzaniem —

ale dlatego, żeby utrwalić błysk
tak krótki nieraz,
że czasu nie dość pomiędzy myślą i dotknięciem
pióra —

błysk w którym się jasny, szczęśliwy ból otwiera,

Ten wielki ból, pełen nadziei
dziś tobie niosę —
to tylko on prowadzi pióra, rzuca naręcza wiosen
i przed porywem łatwych słów ocala
niejednych kartek dzieje.

Oto się czarna kołysze w mocnych drzewach ziemia
i znów przeze mnie płynie siła,
która, by ślad pozostawiła
żąda milczenia.

Ją uszanować — to chronić w sobie ciszę,
która na kartce tej prawdziwe słowa pisze,

* * *

Chwilo samotna,
chwilo spokoju,
chwilo nie mijająca —
jedyna która zostajesz.

Oto odchodzą zdarzenia dnia,
to wszystko, co wkoło się staje
dotąd jest martwe
dopóki nie stanę z tobą sam na sam,
nie spojrzę
w oczy twoje szeroko otwarte.

Przychodzisz do mnie, jak noc,
całujesz cicho.

Jesteś tym czego nawet nazwać nie można
żeby nie znikło,

Wtedy, rzucone poprzez milczenie
uderza we mnie, jak kamień
to, co ocalić trzeba za wszelką cenę,
to jedno, co między wami i mną
tutaj zostanie.

ZAWIEYSKI

PREZYDENTA

nas mieszkańców kraju Wenderdycji, do którego i ty należysz, nie zawsze są zrozumiali. Na przykład to „ja ci wybije z głowy” jest bardzo śmieszną zabawą dorosłych.

— Och, ja się boję dorosłych, panie Prezydencie — westchnął Jacek — ja się boję. Boję się wizyty u doktora z babcią „Kicią”.

— Nie bój się, ukochany — uspokajał Prezydent — ja będę blisko ciebie.

— To dobrze, dobrze. Nie pozwolę sobie wybić z głowy pana, panie Prezydencie. Nie pozwolę! Nie pozwolę!!

— Tylko spokojnie, mój śliczny mały. Spo-koj-nie... Jeśli chcesz, opowiem ci o kraju Wenderdycji. Więc: duża wiosna przynosi duże zdarzenia. Urodzili się już małe słowiki i małe jaskółki, jako że jest to pora narodzin ptaków. I narodzin zwierzątek. Bo i sarenki mają już swoje małe, i zajęczce, i piękne szarobielęskie lisy. Urodzili się też małe zwierzętom wielkim: lwiątko, nosorożce, czarne i białe niedźwiedzie, żyrafy, jelenie. Oraz wielbłądy i słonie. Dużą wiosnę można by też nazwać porą czułości, no bo wszystko jest małe i prześliczne.

W tej chwili głos Prezydenta umilkł, bo zegar zaczął wydzwaniać straszną godzinę zstępu.

Z przedpokoju Jacek słyszał, tym razem prawdziwie, stapanie babci „Kici”.

II

Doktor nie był zwyczajnym doktorem. I nie przyjmował w swoim mieszkaniu, lecz w wielkim gmachu, gdzie było dużo pięter, na każdym piętrze dużo drzwi, a naprzeciw każdego schodów sale ze stolikami, gdzie się czekało na przyjęcie. Nie była to ubezpieczalnia, którą Jacek znał sprzed roku, gdy enodził tam z babcią kilka razy na prześwietlenie płuc. — To ta „instytucja” — myślał — nie będąc pewnym, czy dobrze zapamiętał wyraz tak trudny — instytucja, o której mówiła babcia „Kicia”, gdzie badają takie dzieci jak on i gdzie mają mu wybić z głowy Prezydenta Wenderdyka.

Jak się to będzie odbywało? — ciekawiło Jacka. Postanowił nie płakać, bo dał przyrzeczenie dzisiejszego rana Prezydentowi, że płakać nie będzie. Ale nie powie też nic o najmilszych odwiedzinach.

Siedząc na krześle obok babci „Kici” obserwował dzieci, których tu było dużo. Tylko jedna dziewczynka przyszła z ojcem, inne dzieci były pod opieką mam lub babć. Jacka męczył gwar i ruch, bo niektóre dzieci płakały, niektóre były niespokojne, chciały biegać albo wchodziły na okna, albo bily inne dzieci. Babcia „Kicia” paliła często papierosy, wydobyła też z torby książkę i udawała, że czyta, udawała na pewno, bo Jacek zauważył, że od dłuższej chwili nie przewróciła żadnej kartki. Więc nie czyta i spogląda od czasu do czasu to na Jacka, to na pana, który przyszedł tu ze swoją córeczką.

Z różnych drzwi wychodzili panowie albo panie w białych fartuchach. Byli to lekarze. Dwukrotnie z dużej sali wyszedł pan bez fartucha, trochę przystawał przed dziećmi, gładził je po głowach i pytał: — do mnie? do mnie? — Wziął też Jacka pod brodę i nie patrząc na babcię zapytał: — do mnie? — Babcia wstała i powiedziała, że tak. Ze „do pana, panie doktorze”.

— Chwileczkę — odpowiedział doktor i znikł w sali, ale przed tym jeszcze podniósł książkę, którą wypadła babci z ręki, gdy wstawała, aby odpowiedzieć doktorowi na jego pytanie.

— Mily ten doktor — powiedziała babcia, otwierając znów książkę. — Przystójny.

Gdy po pewnym czasie wyszła z sali dziewczynka o krzywymy nożkach i wielkiej głowie, doktor poprosił babcię i Jacka. Ale już w progu pochylili się nad Jackiem, popatrzyli uważnie w oczy i powiedzieli:

— Zostań jeszcze chwilę w poczekalni, mój mały. Najpierw mi porozmawiamy — wskazał na babcię. — Dobrze? Na stolikach są książki z obrazkami. Niedługo cię poproszę.

Więc Jacek wrócił na swoje miejsce, ale nie przeglądał obrazków w książkach, bo były zajęte przez inne dzieci. Usiadł na krześle, przymknął oczy i starał się przypomnieć sobie dzisiejszą poranną wizytę Prezydenta Wenderdyka. Nic mu się jednak nie udawało, bo przeskakały dzieci upominane ciągle przez ich mamy i babcie. Rozmowa babci „Kici” z doktorem nie trwała długo, bo jeszcze się nie zjawił pod przymkniętymi powiekami Prezydent Wenderdyk o twarzy ojca, gdy doktor pochylał się już nad Jackiem i grzecznie prowadził go za rękę do sali przyjęć. Babcia została w poczekalni na swym miejscu pod oknem.

Sala do której weszli była duża, widna, miała cztery okna z widokiem na ogród. I pełno w niej zabawek poustawianych na półkach albo dookoła ścian. W rogu sali stało biurko doktora z rozłożonymi papierami.

Doktor poprowadził Jacka na środek sali, potem pochylili się, jakby przykuśnuli, tak że Jacek nie musiał podnosić głowy.

— Zdaje się, że masz na imię Jacek. Prawda?

— Tak. Jacek.

— Jak ci się tutaj podoba?

— Podobna — powiedział spuszcza-

jąc oczy.

— Jesteśmy teraz sami, nikt nam nie będzie przeszkadzał. Bardzo się cieszę Jacku, że do mnie przyszedłeś. Chciałbym z tobą porozmawiać, czy dobrze?

Jacek nie odpowiedział, mimo że doktor odzywał się do niego inaczej niż inni doktorzy. I nie kazał się rozbierać, nie kazał pokazywać języka ani nie pukał palcem po swoim palcu na jego piersiach. Najmilsze było to, że doktor nie ponawiał pytania, czy Jacek zgadza się na rozmowę. Patrzył uśmiechając się i delikatnie głaskał Jacka po głowie.

—Może chcesz się pobawić? — proponował doktor. — O, jest tu koń na biegunach. A tam samolot. A może okręt? lub pociąg z gwizdzącą lokomotywą?

Doktor wstał, podszedł do biurka i zajął się pisaniem. Jacek nieśmiało wdrapywał się na konia z biegunami chociaż bał się, że spadnie i w ogóle nie miał ochoty na żadną zabawę. Nie chciał jednak sprawiać przykrości doktorowi, który był tak grzeczny, prawie tak grzeczny jak Prezydent Wenderdyk. Więc trochę pobujał się na koniu, ale ciągle myślał, kiedy i w jaki sposób doktor zacznie mu wybijać z głowy Prezydenta Wenderdyka i kiedy zacznie się śmiać z ukochanego gościa tak jak śmiał się ojciec w czasie pamiętnego odkrycia tej tajemnicy.

— Nie bawi cię koń, prawda, Jacku? A samolot też nie? Wcale się nie dziwię — mówił doktor — bo są dzieci, które wolą co innego niż zabawki. Czasem dorosłym się wydaje że taki koń lub taki samolot to właśnie to co dzieci lubią najbardziej. A tymczasem dzieci wolą, aby na przykład iść z nimi na spacer i opowiadać o tym co się widzi. Albo lubią same opowiadać dorosłym. Prawda, Jacku?

— O, tak! panie prez., panie doktorze — poprawił się Jacek i przymknął mocno oczy, bo doprawdy zdawało mu się, że to mówi nie doktor, lecz Prezydent Wenderdyk, który ma głos i dotknięcie ojca.

Doktor był znów pochylony nad Jackiem, był twarzą przy twarzy i uśmiechał się uśmiechem Prezydenta.

Jacek przypominał sobie, że Prezydent obiecał, iż będzie z nim razem przy badaniu. Więc może nie należy się bać! Może należy mówić tak jakby się mówiło z Prezydentem?

— Proszę, niech mi pan doktor opowiada — odezwał się cicho Jacek.

— Dobrze, Jacku. Najpierw ja ci będę opowiadał, potem ty mnie. Bardzo się cieszę, że do mnie przyszedłeś. Mamy dużo czasu i nikt nam nie przeszkodzi. A jak nie opowiemy sobie dzisiaj wszystkiego, to przyjdiesz do mnie jutro albo pojutrze, ki dy zechcesz.

— Przyjdę na pewno przyjdę — potwierdził Jacek z zapalem. — Przyjdę.

I naraz chyba tylko za podszepetaniem Prezydenta wyciągnął Jacek nieznacznie ręce, które doktor założył sobie na szyję, przycisnął jego twarz do swojej twarzy i tak trwałli długą chwilę. Jacek nie mógł już panować nad sobą i chociaż wcale tego nie chciał, zaczął cichutko płakać. Polykał łyzy i zaciskał mocno powieki, aby łez nie było widać.

Doktor na szczęście nic nie zauważył i opowiadał. Wziął jeszcze przed tym niski stołeczek, posadził Jacka na swoich kolanach i objął go ramionami.

Było to opowiadanie o podróży doktora samolotem i o tym co widział z góry.

Gdy Jacek z powodu łez nie ciągle nie mówił, doktor opowiadał teraz co innego. Było to cudowne opowiadanie, które Jacek postanowił powtórzyć panu Wenderdykowi, gdy dziś go odwiedzi. Przecież nie mówił doktor o pewnym chłopcu, którego znał, którego pokochał. O takim chłopcu, co raz znalazł bezdomnego psa, bardzo wynędzniałego. Historia o tym psie i chłopcu była bardzo smutna. Ale zakończyła się dobrze, nawet wesoło, i Jacek śmiał się narówni z doktorem. Bo okazało się, że pies był dowcipniejszy od chłopca i potrafił go na przykład wyciągnąć z wielkiego dołu, do którego chłopiec wpadł przez swoje gapiostwo. I wiele innych takich przygód. Chłopiec i pies bardzo się kochali.

Każdy musi mieć kogoś kto go kocha — powiedział zagnał Jacek. Doktor poważnie popatrzył na Jacka i później poprosił, by z kolei Jacek coś opowiedział.

Stało się już teraz pewne dla Jacka, że Prezydent Wenderdyk spełnił obietnicę i jest tutaj blisko, jest na pewno obecny przy tej rozmowie, która miała być „badaniem”. Nie ma żadnego badania, jest rozmowa, właściwie zabawa, właściwie coś takiego jak odwiedziny Prezydenta. Tylko że wtedy nie otwiera się oczu i pana Wenderdyka widzi się pod powiekami, gdy teraz można patrzeć na doktora, można go objąć za szyję i śmiać się z nim razem. Nawet płakać.

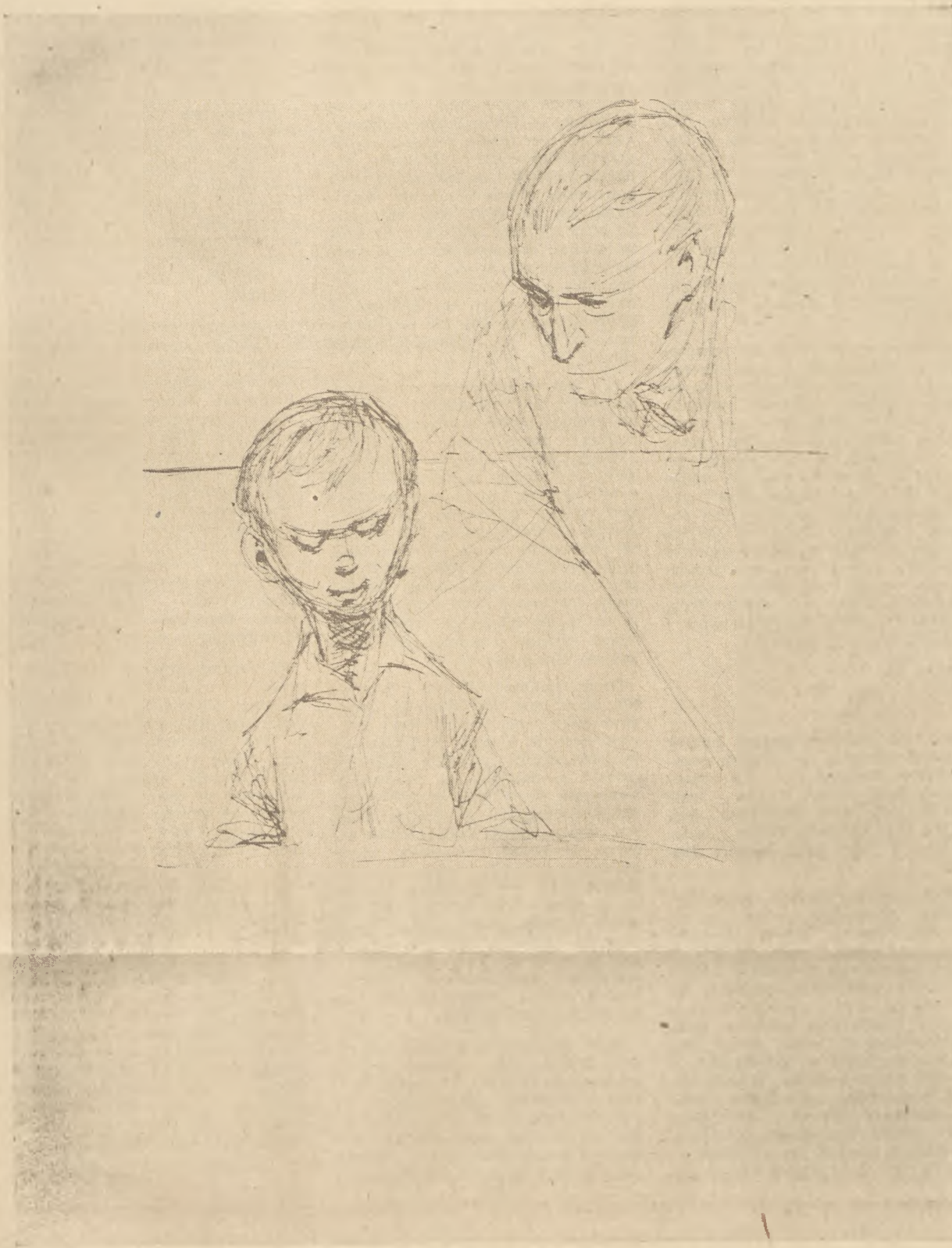
Doktor jest podobny do Prezydenta Wenderdyka i tym samym podobny do ojca. Ma ciemne włosy, miły głos, uśmiech, sposób mówienia — wszystko takie jak u ojca, zwłaszcza wtedy kiedy ojciec trzyma w ramionach Adasia i odzywa się do niego słowami, w których są same pieszczoty. Jacek jest pewien, że doktor nie wybije mu z głowy

chciał, aby tatuś wziął mnie za rękę i szedł ze mną daleko ulicami... do miasta... żeby opowiadał... i żeby wszyscy widzieli...

Jacek bardzo się wstydział swoich łez, bo wcale nie chciał płakać. Ale szły same.

Na zakończenie wizyty doktor urządził zabawę w pytania:

— Ile nóg ma duży pies? a ile



Rys. Szymon Kobylński

maly? co to jest samolot a co to jest płak? kto to jest żołnierz?

Doktor był zadowolony z tej zabawy, więc ucałował Jacka i podziękował za rozmowę. Jeszcze na chwilę poprosił o poczekalni babcię „Kicię”, z którą krótko rozmawiał, przęsząc o przybycie ojca. Po czym wprowadził oboje aż do schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdzie Jacek miał być przyjęty przez prawdziwego doktora z pokazaniem języka i pukaniem palca o palec na piersiach.

III

Więc Jackowi pan doktor nie wybił z głowy Prezydenta Wenderdyka i to było powodem, że na niecierpliwie pytania babci „Kici”, gdy tylko znaleźli się poza obrębem gmachu, odpowiadał z przesadną wesołością, pamiętając jednak o tym, by zataić szczegóły o wszystkim co dotyczyło jego tajemnicy.

— Co jeszcze? co jeszcze? — nalegała babcia. Jacek na nowo mówił o zabawie w pytania i powtórzył całą historię z psem i samolotem.

Babcia nie była zadowolona z wizyty, zwłaszcza nie podobało się jej to, że doktor żądał przybycia ojca.

Przy obiedzie mówiła tylko babcia „Kicia”, z czego Jacek był ogromnie rad, bo nie musiał odpowiadać na pytania: — a co? a jak było? co doktor? a co ty? — Ojciec spóźnił się na obiad, był zmęczony, bo w biurze miał ciągle konferencje. Przywitał się tylko z nową mamą, na którą mówił „Igusiu”, wziął Adasia na rękę, ale przedko oddał go znów mamie.

Babcia powtórzyła prośbę doktora, by ojciec przyszedł do niego w sprawie Jacka. Ojciec odpowiedział z rozdrażnieniem, aby mu nie zawracać głowy, że ani mu się śni tam iść, i że ten jakiś doktor wymyślony przez babcię „Kicię” to na pewno są z a r l a t a n. Jacek nie wiedział, co to znaczy z a r l a t a n, ale przeczuł, że to nie do brego. I nie wiadomo, jak to się stało że Jacek zawołał: — Nieprawda, tatusiu, ten doktor to bar-

dzo dobry doktor!!! — Za karę ojciec odesłał Jacka do kuchni. Nowa mama przyniosła po chwili krem malinowy i przygotowała kawę dla ojca mówiąc:

— Byłeś znów niegrzeczny, Jacku. Powinieneś tatusia przeprosić. Dzieci nie powinny odzywać się w ten sposób do dorosłych.

Po obiedzie Jacek chciał spełnić polecenie nowej mamy i przeprosić ojca, bo sam wiedział, że z ojcem nie wolno się sprzeczać. Nie oznacza to jednak, by ojciec miał rację, bo doktor nie zasługiwał na to słowo „szarlatan”.

Jacek upatrzył chwilę, gdy ojciec zabierał się do popołudniowej drzemki, i podszedł do niego, ale nie wiedział co ma zrobić i co powiedzieć. Chciał ująć jego rękę albo objąć za szyję, tak jak obejmował dzisiaj doktora.

Wenderdycji jest rozległy i nie ma granic. Dorosłi o nim wiedzą, ale dorosłi unikają go. Wolą bowiem tę śmieszną zabawę, o której mówiliśmy dziś z rana, zabawę pod hasłem: „ja ci wybije z głowy”...

— Och, panie Prezydencie — szep- tał Jacek w trwodze — ta zabawa źle się skończy. Bo jeśli oni na nas napadną? jeśli nas zawiadują? jeśli zaczną wybijać nam z głowy kraj Wenderdycji? O, mój najdroższy...

— Nie płacz, mały. Nigdy go nie zawiadują. Nigdy, Jacku. Nie bój się...

— Och, panie Prezydencie! Mój najdroższy! Bardzo mi smutno. Ojciec się na mnie gniewa, gniewa się ciągle, bo jestem podobny do mamy. Co na to zrobić? Umieję tylko płakać.

— Dlatego do ciebie przychodzę, mój śliczny Jacku — mówi poważnie pan Prezydent — abys nie płakał. Zalóż mi ręce na szyję. O, tak. No, już dobrze. Jesteśmy oto w kraju Wenderdycji.

— Jesteśmy... jesteśmy... — szep- tał Jacek.

— Opowiem ci co tam dziś zaszło. Zaszło zdarzenie ogromne, niezwykłe.

— Jakże?

— Było dziś Wielkie Granie przed zmierzchem i Wielki Śpiew. Czyli, jak mówią dorosłi: Wielki Koncert. Albo inaczej jeszcze: Wieczór Muzyki. Od rana przygotowywano się do uroczystego wyjazdu na Wielki Koncert, który odbywał się na cichej polanie w lesie. Gdy tylko słońce mrugnęło, że pora odpowiedzieć się zbliża, uroczysty pochód ruszył naprzód. Na czele szło wszystko co najmniejsze. Więc najmniejsze zwierzątka i najmniejsze ptaszki prowadzone przez najmniejsze dzieci. Żaden płak nie leciał, bowiem sejm ptaszy uchwalił, aby okazać braterstwo z tymi co nie mają skrzydeł i iść pieszo. Płaki na równi ze zwierzątkami szły wolno spacerem, w przewidzianym porządku, i to parami: płak i zwierzątko. Więc: słowik z kotkiem, kukulka z wiewiórką, skowronek z pieskiem, jaskółka z zajęczkiem, wróblek z liskiem.

— Widzę jak idą! To śliczne i zabawne, panie Prezydencie!

— Za małymi szli starsi. Teraz już zwierzęta. Więc: wilk z jagnięciem, ciętłko z dzikiem, wół z żyrafą, sarenka ze słoniem, lania z kozłem, konik z wielbłądem. Ach, trudno mi zliczyć te pary — śmiał się wesoło pan Prezydent Wenderdyk. — Na polanie Wielki Koncert. Najpierw dyrygent Wiatr dał muzykę drzew leśnych, muzykę strumieni i rzek oraz cichy szum zbóż. Nawet trawa miała swój udział w koncercie. Nawet kwiaty. Wszystko co zdolne poruszać się było w ruchu, czyli grało na równi z drzewami w lesie, na równi z wodą w rzekach i strumieniach. Zebrani dziękowali Wiatrowi Wielkim Pomrukiem Zadowolenia. A później były występy śpiewaków. Najpierw śpiewały słowiki swoje pieśni miłosne, których słuchano przytulając się do siebie, głowami przy głowie. Zadowolenie było ogromne i słowiki musiały śpiewać aż do zachrypnięcia. Ale najcudniej, mój Jacku, śpiewały później skowronki. Śpiewały tak rzewnie, tak ślicznie wyciągały swoje nutki, że słuchacze z podziwu i zachwytu oniemieli. Onie-mie-li, czyli zapomniało wśród nich ogólnie zapomnienie, że po śpiewie skowronkowy należy zamruczeć lub zapisać, stosownie do swej natury. Więc była wielka cisza i ta cisza też była muzyką. Skowronki pospadały z wyczerpania i szczęścia. Tak było do zachodu słońca, które skryło się całe w uśmiechach i blaskach. Później oczarowani słuchacze Wielkiego Koncertu wracali parami do domów. Ach, Jacku, było to cudne święto kraju Wenderdycji...

— Czy pojedzie pan ze mną, panie Prezydencie — mówił Jacek przez łyzy — czy pojedzie pan ze mną i będzie mnie pan trzymał za rękę...

Prezydent już nie zdążył odpowiedzieć, bo w kuchni zapaliło się światło i weszli rodzice, aby zrobić sobie herbaty, która już stała gotowa na małym gazie w imbryku. Imbryk szumił cicho, jakby brał też udział w Wielkim Koncercie, o którym opowiadał Prezydent Wenderdyk.

Spod przymkniętych powiek Jacek widział nową mamę Igusię, która ze szklanką w ręce pochylała się nad nim.

— Znowu płakał przez sen — mówiła do ojca. — Co z nim zrobić? Powinieneś. Witusiu, pojedź do tego doktora i porozmawiać o Jacku.

— Nie pojedź — odpowiedział ojciec szorstko. — Jeśli będzie tak dalej, trzeba go oddać matce albo umieścić w jakimś Domu Dziecka. — Ależ, Witusiu — dziwiła się nowa mama. — Zresztą, jak chcesz — powiedziała po chwili. — Przecież to twoje dziecko.

Światło naraz zgasło i oboje weszli z kuchni. Zajrzeli do Adasia. Pochylali się nad nim z uśmiechem, czułością, rodzimem, że tak ślicznie rączki rozłożył przy główce. Patrzyli długo, objęci teraz w pół, po czym wyszli na palcach, aby nie budzić małego i babci „Kici”, która coś mówiła przez sen.

Jacek słyszał ich kroki, zamykanie drzwi, brzęk talerzy i szklanek. Wreszcie wszystko ucichło. Był teraz sam. Znowu i zawsze sam.

Przez straszną ciemność nocy wyciągał ręce przed siebie i wzywał Prezydenta Wenderdyka, aby przyszedł i zabrał go do kraju Wenderdycji. Aby go zabrał nim stanie się to najgorsze o czym mówił ojciec,

Jerzy Zawieyski



Tęza jest tylko pozornie paradoksalna, nie zarzucając jej bez rozpatrzenia. Szmagłewska dzieli swą nową książkę na trzy części, ale czy nie warto się zastanowić nad bardziej racjonalnym podziałem — po prostu na dwie powieści: na powieść o bardzo rozrodzonej w *Prostej drodze Łukasza* rodziny Daniłow i na powieść o bardzo samotnym w sensie rodzinnym życiu Łukasza.

*



Ryszard Wasita

Jerzy Lovell

KRZYSZTOF TEODOR TOEPLITZ

René Claira teoria snów

Latami doskonałą swój warsztat twórcy dochodzi do momentu, kiedy nie ma dlań rzeczy niemożliwych. Potrafi zrealizować wszystko, co leży w granicach uprawianej przez niego dyscypliny, nie przerazi go również i to, co poza te granice wykracza.

René Clair doszedł niewątpliwie do tego momentu. Sztuka filmowa nie ma już dla niego zagadek, nie istnieją zakamarki tej dziedziny, w których mógłby się zagubić, zaplątać, zbłądzić. Jest to niewątpliwie moment krytyczny dla twórcy. Owa perfekcja warsztatowa, będąc wielkim triumfem mistrza stawia go jednocześnie w kregu groźnych niebezpieczeństw. Panując niezawodnie nad warsztatem można bowiem zdyskontować nabytą swobodę dwójako — wyzyskać ją dla stawiania problemów, formułowania myśli, rzucania filozoficznych wyzwań światowi ludzi i światowi sztuki lub też użyć jej do stwarzania pozorów. Trudno jest odkryć pozor pod powłoką pysznej formy.

Zdaje mi się, że właśnie na skutek owej bezgranicznej swobody, z jaką Clair tworzy swoje filmy każde jego dzieło witane jest u nas już na zapas, jako wypowiedź filozofa, w każdym dialogu uprzedzony widz czy recenzent odkrywa pokłady najszlachetniejszego kruścu myślowego. Sprzyja temu w wypadku „Piękności nocy” dodatkowo fakt, że przed tym widzieliśmy „Urok szatana”, nową wersję „Fausta”, film, który już przez sam fakt literackich koligacji prowokował do filozofowania.

Mój boże, filozofia jest wszędzie, gdy się dobrze zastanowić. Ale przecież filozofia nie jest wartością jednoznaczną. Bywa ona zła i dobra, odkrywczą i nie, „olimpijską” i „kuchenną”. Oglądając „Piękności nocy” kilkakrotnie przyznam się, profan, że nie ulotwiłem w tym dziele, świetnym i błyskotliwym, wielkich i nowych idei. Dowiedziałem się z filmu tego, co Clair chciał powiedzieć — że nie ma czasów piękniejszych niż aktualne, „nie ma nic ponad rzeczywistość”, jak miał ponoć powiedzieć na łożu śmierci młoty Miciński. Nie lekceważę tej sentencji, ale, proszę, nie każcie mi być olśnionym jej nowością i oryginalnością. I nie każcie mi — jak niektórzy recenzenci nakazują swoim czytelnikom — recenzenci, nie Clair — przez pryzmat tego spostrzeżenia patrzeć na pyszny obraz stworzony przez Claira, bo jest w nim parę rzeczy, które wydają mi się ciekawsze.

Obraz jest bowiem upójny, wdzięczny, pełen niesklamanej poezji i wirtuozowskiej maestrii. Dobierając te przymiotniki i określenia zdaje sobie sprawę z ich dwójakiego pochodzenia: jedne pochodzą ze świata zmysłowego, są pozaracjonalne, emocjonalne, ze świata uczuć, nie ze świata rozumu; walor intelektualny ma w tym zestawieniu tylko „maestria”, maestria jako wyraz zwycięskiej pracy myśli artysty, myśli spekulatywnej, prowadzącej do nie-

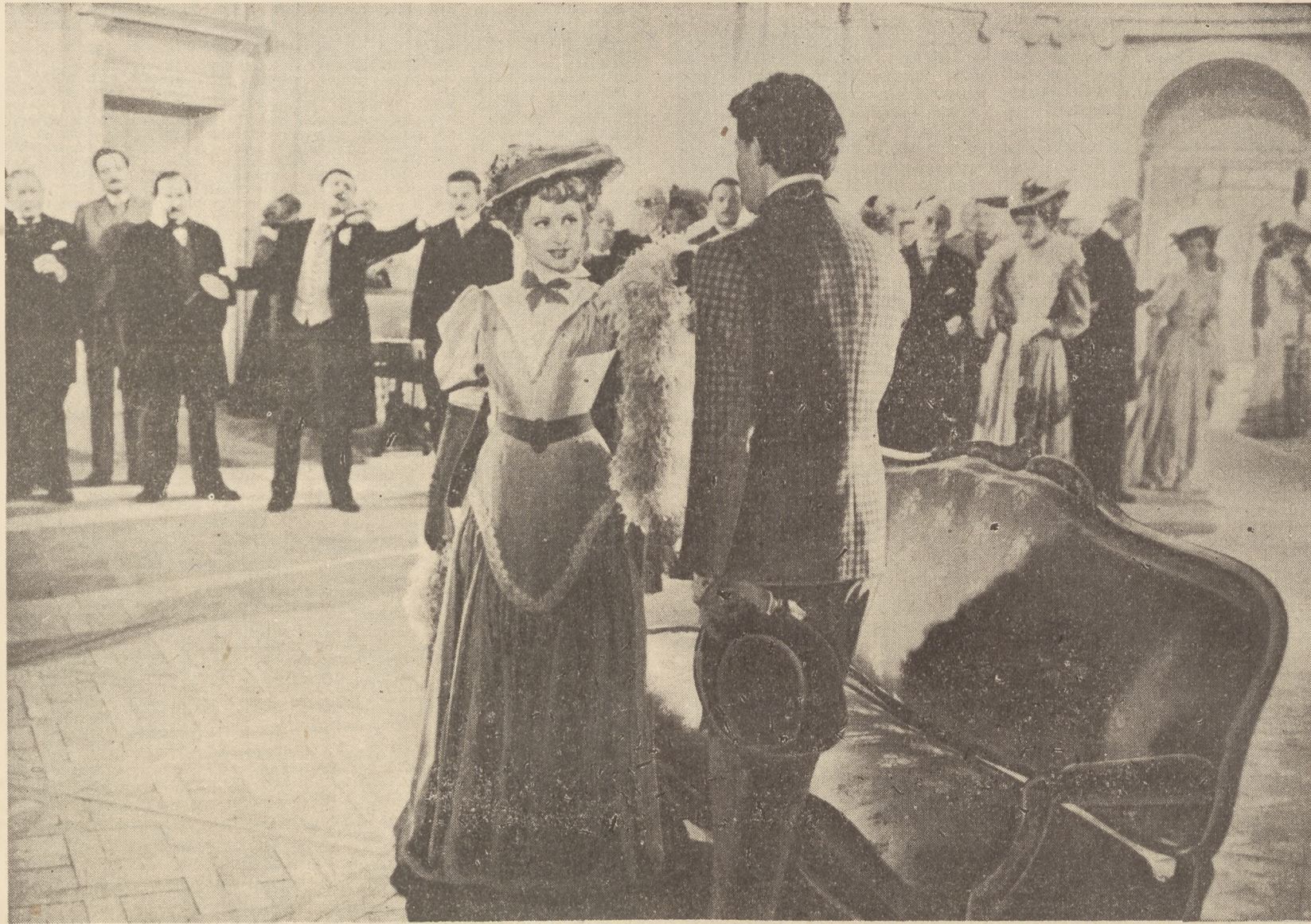
naganych, matematycznych nieomal rozwiązań konstrukcyjnych.

Przyznam się, że tym co najbardziej imponuje mi i zachwyca w „Piękności nocy” to właśnie owa maestria konstrukcji. Popatrzenie, jak to jest zrobione. Clair bierze mały wycinek realnej rzeczywistości małego miasteczka, w którym mieszka ubogi nauczyciel muzyki. Pod oknami jego mieszkania mieści się warsztat samochodowy, prowadzony przez mechanika, będącego ojcem wdzięcznej córki. Nauczyciel udziela lekcji małej dziewczynce z dobrego domu. Uczy ponadto w szkole. Nocami pisze operę. Ma przyjaciół — mechanika Rogera i policjanta Leona. Nauczyciela — człowieka o uchu wrażliwym i subtelnym — prześladowa hałas miasteczka — hałas warsztatu, hałas kamienicy, hałas dzieciennych zabawek. W skrytości prześladowa go zapewne również młodzieńcza samotność — nie inaczej przecież wyjaśniłby dr Freud fakt, że we śnie jest on bohaterem miłosnych przygód z najpiękniejszymi paniami z miasteczka. To jest realne tworzywo filmu Claira. Miasteczko, nauczyciel — i sny. I dalej już, przez cały film, mamy do czynienia jedynie z sensną interpretacją rzeczywistości. Jedynym elementem wzbogacającym rzeczywistość snu bohatera w stosunku do rzeczywistości realnej jest jego wiedza historyczna — przeciętna wiedza nauczyciela muzyki.

Wszystkie, fantastyczne i z opery komicznej wyjęte przygody bohatera biorą się z rzeczywistości; jeśli kasjerka małej kawiarni siedzi w kasie zwieńczonej mawrytańskim łukiem — we śnie stanie się perłą sultanańskiego haremu; urzędniczka z poczty wystąpi w rogowych okularach w epoce „Trzech muszkieterów”; elektroluksy i młoty kamieniarskie (z miasteczka i kawiarni) zakłóca muzyczny sukces bohatera w epoce fin de siècle’u; wspominający młodzież staruszek z tej kawiarni będzie zjawiał się w każdej epoce, cofając akcję do czasów swojej młodości. Można tak wyliczać i wyliczać.

Zmieniają się kostiumy, dekoracje, ale sytuacje pozostają bez zmian i wszystko — to ogromne „wszystko” z różnych epok, środowisk, z różnych literatur (bo przecież one również, lektury nauczyciela, niemają grają rolę w jego snach) — wywodzi się z małego miasteczka, z pokoiku na poddaszu. Ponieważ koncepcja ta przeprowadzona jest niezwykle czysto i płynnie — uważne śledzenie tej, realistycznej, racjonalistycznej w swoich podstawach „teorii snów” René Claira dostarcza niewymierzonych wprost satysfakcji umysłowych, „krzyżówka filmowa” zachwyca swoją logiką, tym bardziej, że jest to logika szczególnego rodzaju, stojąca na granicy irracjonalnej i abstrakcji.

Logika irracjonalna — tak, to jest właśnie jakiś element clairowski, „teorii snów” i clairowski



filmowego humoru. Nie wiem, czy można w sposób zupełnie pewny mówić o prawidłowościach snu. W każdym razie prace na ten temat, z Freudem na czele, nie przekonały mnie o tym. Wydaje mi się, że sen, czynność związana tak intymnie z najbardziej indywidualnymi działaniami umysłu z trudem poddaje się racjonalnej klasyfikacji obowiązującej powszechnie. Ludzie mają — każdy inne — swoje „sennie miejsce”, do których powracają przy określonych stanach sennego ducha, mają swoje niewytłumaczalne często czynności, jedni śnią kolorowo i materialnie, inni bezbarwnie i abstrakcyjnie. Nieliczni tylko wielcy twórcy potrafili dać w literaturze zatruwającą prawdziwą wizję snu. Wspomnę tu choćby sny Raszkolnikowa ze „Zbrodni i kary”, czy też sen Swidrygajłowa z tegoż dzieła. Mechanika tych sennych wizji polega na tym, że Dostojewski wyprowadza sen z nastroju w jakim znajduje się bohater, przy czym sam przedmiot akcji sennie jest tu już dość dowolny, byle zgodny ze stanem ducha śniącego. To samo czyni Clair. Sen jednak w literackiej transkrypcji korzysta z

przywileju, który w ogóle posiada literatura w stosunku do filmu: jest on niedefiniowany plastycznie, jest, pomimo że Dostojewski wprowadza brutalny opis, mimo wszystko pojęciowy, nie zaś zmysłowy, wizualny. Zdaje mi się natomiast, że najdelikatniejszą, najtrudniej dającą się ująć w konkrety materialną jest jego wyraz wizualny. Jak widzimy we śnie? Wiadomo, że z „wyraźnego”, „przekonywającego” snu potrafimy czasem wynieść na jawę jeden obraz lub scenę. Wiadomo również, że bywają we śnie obrazy zadziwiająco konkretne. Ale co dzieje się pomiędzy tymi obrazami i scenami? Czy są tam też jakieś obrazy, których niesposób zapamiętać, czy też jakieś niewizualne, myślowe, abstrakcyjne przesłoki, przejawione zmysłowego konkretu? Nie wiem. Nie wiem, i dlatego podziwiam Claira, który nie tylko powożył się na odtworzenie ciągłości sennego widzenia na taśmie filmowej, ale w dodatku dokonał tego z sukcesem!

Jego sny mają określoną, stonowaną, mleczną fakturę. Jest tam jakaś jakby mgła, jakby przesłona, spowijająca przedmioty i ludzi.

Przedmioty są jakby dwuwymiarowe, lub też, jak np. fortepian we „Śnie z fin de siècle’u” lekko unoszące się nad ziemią. Pasaże zaś i łączniki akcji rozwiązane są w ten sposób, że nie widzimy w ogóle, co dzieje się w „miedzyczasie”. Z akcji wydobyte zostały tylko momenty kulminacyjne, tylko zasadnicze spiecia, a we wszystkich tych wypadkach, kiedy bohater dokonuje we śnie czynności mniej ważnych, oczywistych (np. zamyka drzwi żeby być sam na sam z piękną dziewczyną z haremu, lub też, w tej samej scenie, wraca się po trąbkę, której zapomniał lub też gdy rzecz aż nazbyt realna — np. — dziura w spodniach — zjawia się we śnie) reżyser osiąga zamierzony efekt komiczny. A poza tym — i to jest niezwykle ważne — montaż całego filmu, coraz szybsza ku końcowi zmiana miejsc akcji sprawia, że cały świat senny staje się, dla wychodzącego z kina widza, takim, jakim jest „naprawdę” nieco zamazanym, niejasnym w ogólnej konsystencji lecz jednoznaczny w nastroju. Właściwie zaś w dwóch nastrojach, bo film Claira ma wyraźnie zaznaczoną ka-

cję, gdzie w pierwszej części sen jest stroną idealną, rzeczywistość zaś reprezentuje ową „odwrotną stronę medalu”, w drugiej zaś części, od momentu spóźnienia się na lekcję (co we śnie oznacza spóźnienie się na wszystkie trzy umówione spotkania z nocnymi pięknościami) stosunek ten się zmienia na przeciwny.

I jeszcze jedna, drobna uwaga — o czasie. Clair, mimochodem określił czas trwania snu. Pamiętacie scenę, kiedy bohater zasypia w kawiarni przy dźwiękach kotysanki płynących z radia? We śnie odbywa się spotkanie ze wszystkimi trzema pięknościami, wszystkie tragicznie zakończone, ponadto dokonuje wielkiej podróży przez epoki. Budzi się w momencie, kiedy kończy się radiowa kotysanka. A więc sen trwał nie dłużej niż trzy minuty (długość płyty gramofonowej), naprawdę zaś prawdopodobnie trwał krócej. Jak wiadomo bowiem, sen obejmuje jedynie kilka ostatnich sekund przedzbudzeniem.

I po cóż więc tyle gadania o tych kilku sekundach!

Krzysztof T. Toeplitz

AJUDAH

Stali obydwa wsparci na Judahu skale.
„W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznymi sady.”
Pierwszy rzekł, „gdzie Girajów zarastają ślady,
Ten oto rwałem wawrzyn, węz i noś go w chwale.”

A drugi: „Kędy w tęczach wykwiła wspaniale
Różnobarwnym powojem baśń Szaherezady,
Zerwałem laur dla ciebie, przyjacielu błądy.”
Czy to głosy druhów? Czy tak sztydzą rywale?

I jeden nie chce przyjąć, i drugi się broni:
„Ty szczeblujesz ku chwale!” — „Tobie laur i sława!” —
„Za nieśmiertelne pieśni przyjm wawrzyn z mej dłoni!” —

„Niech cię wieńczy gałązka, dla wieszczów łaskawa,
Zanim wieki uplotą ozdobę twych skroni!”
...Taki spór wiedli z sobą Stępień i Gozdawa.

Jalta, 20 września

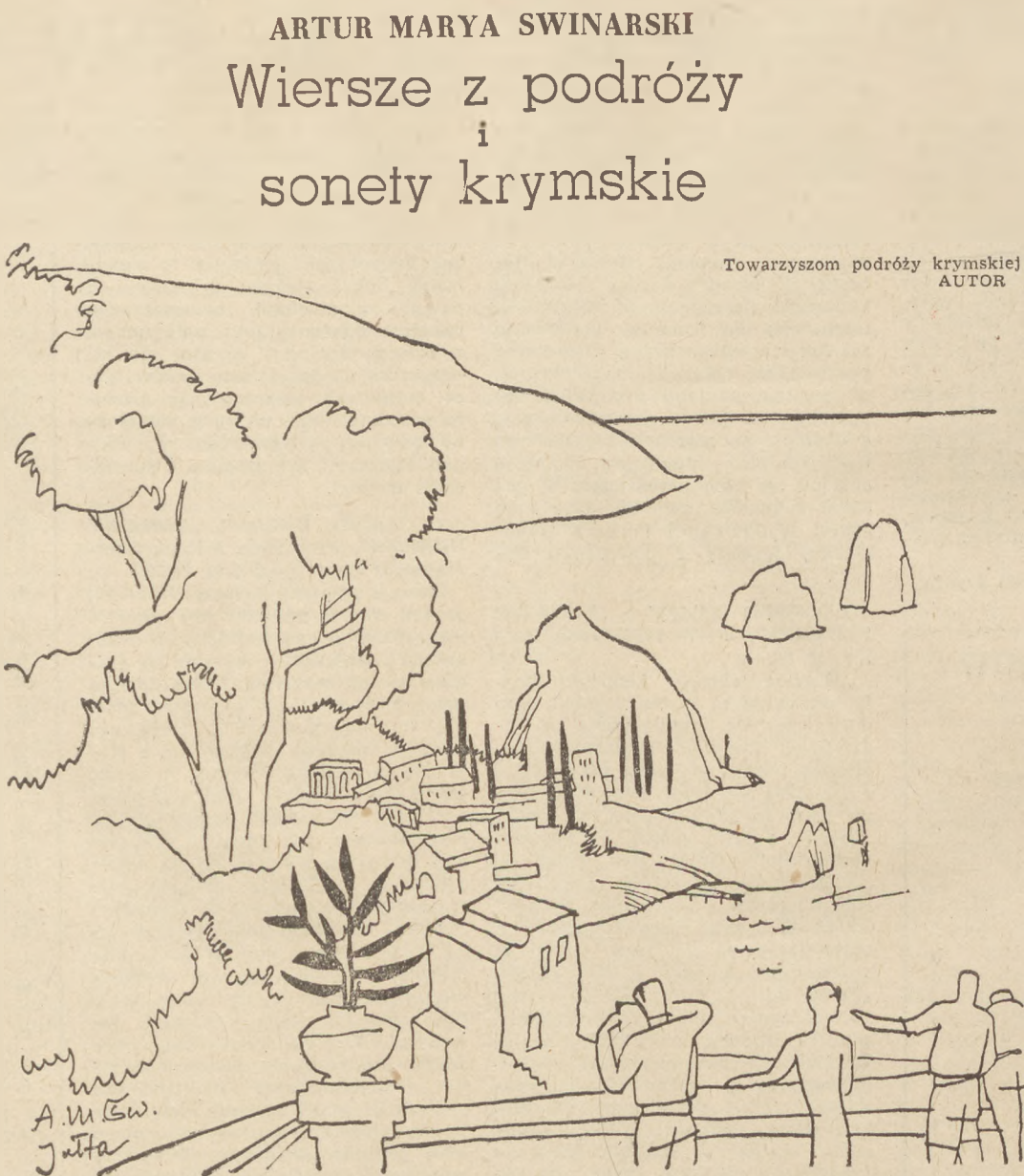
ŻEGLUGA

Daśa się okręt, zrywa gotowy do skoku.
Wiater! Wiater! W kajutach milknie pogwarka wesola.
Pisarze zadumane pochylają czoła:
Głos jakiś słyszą z dala i lęz mają w oku.

Czy wołanie Warszawy usłyszeli w mroku?...
Wtem okręt staje dęba. Popłoch dookoła
I krzyk trwójny gromady: „Jedźmy! Nikt nie woła.”
Bo nagle w nich wezbrało jak fale potoku.

Już jedzie Karol Szpalski i Janusz Osęka,
Żywulski i Wiktorczyk, Stępień przy Gozdawie.
Tylko Urganz nie jedzie, choć rytmicznie stęka,

Choć kołysa się czule. W serdecznej zabawie
Taki na rufie wybija rozkochana ręka...
Sam widziałem. Com widział, opowiem
w Warszawie.



Rys. Artur Marya Swinarski

Soczi, 26 września

ARTUR MARYA SWINARSKI

Wiersze z podróży
i
sonety krymskieTowarzyszom podróży krymskiej
AUTORII
SMUTNO MI, BOŻE!Elegia na odejście Barbary Bittnerówny
z Opery Warszawskiej

Smutno mi, Boże! — Do mnie tu na Wschodzie
Przybiegła wieść jak żalobna fanfara:
Rzuca Warszawę po gorzkim zawodzie
Boska Barbara...

Choć mi tak Kaukaz ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Ze talent mrze w Operze, że uroda
Zasnuta stęchlą pajęczyną, ginie;
Ze szybko traci słuch melodia młoda
I że jedynie
Tonacja ra-mol odezwać się może,
Smutno mi, Boże!

Ze starych śmieci nikt nie powymiaa;
Ze wszędzie próchno, pleśń i pieśń dziadowska;
Ze „Cyganerie” przeplata „Traviata”,
„Traviata”, „Tosca”;
Ze nawet „Czterech gburów” nie pomoże,
Smutno mi, Boże!

Widziałem dawne w Operze komplety.
Dzisiaj rozkoszy próżen i dosytu
Ziewa budynek; nuda na kinkiety
Kapie z sufitu.
Ze puste krzesła, balkony i łoże,
Smutno mi, Boże!

Upiór w Operze straszy. W obce strony
Uciekla z Polihymnią Terpsychora.
I tłum omija gmach zapowietrzony...
Ze nikt upiora
Na madejowe nie poprosi łoże,
Smutno mi, Boże!